

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



AURORA  
Z. V Salonu w Warszawie

ANTONI GAWIŃSKI

HENRYK GALLE:

## Nie chcom chcieć...

Z takich, jak my, był Głowacki.  
A jak myślę, ze panowie  
Duza by już mogli mieć,  
Ino oni nie chcom chcieć...

Czasem rozbłysną na mrocznym niebie bytu narodowego takie słowa-meteory, słowa-błyskawice. Rozedrą chmur ciężką, nisko zwisającą nad ziemią oponę, olśnią oczy, nawykłe do ciemni, ukazą na mig jeden długi, długi, a splecione wstęgi dróg życia — i przemkną. A wokół jeszcze gęstsze mroki kupią się, nacierają cizbą.

„Nie chcom chcieć”... Trudno ująć w zwycięższą formułę klątwę historyczną Polski i Polaków.

Ten naród wielki i potężny, o którego względy ubiegali się monarchowie świata, który za Piastów olśniewał królów i cesarzy bogactwem synów swej ziemi, postrach wrogom — „a straszny huff każdemu nieprzyjacielowi bywa, gdzie Polak swe jasne, a niezakryte czoło pokaze”, jak mówi Mikołaj z Nagłowic — nie umiał utrzymać się na wyżynach wielkości i chwały, bo... „nie chciał chcieć”.

I próżno zstępowali na ziemię polską prorocy a nauczyciele, daremno rzucali w ten tłum szalonych i ślepych gromem bijące słowa i pogróżki Izajasza i Jeremiego: „Tak spętają pany i pożoną, jako barany, w cudze strony... Tak się popsuje i w niwecz obróci i w dym, a w perzynę pójdzie chwała wasza i wszystkie dostatki i majątności wasze”...

I nie były nieodwrotne te wyroki. „Umie Pan Bóg odmienić wyroki swoje, jeśli my odmienimy złe życie nasze”. Tak przemówiło przez usta Skargi sumienie narodowe. I była w tych słowach otucha i nadzieja i wiara w lepszą przyszłość narodu. Byleby tylko chcieć... A wtedy — „ożywi nas i po dwu dniu trzeciego dnia wzbudzi nas.

Nie wzbudził! Nie chcieli chcieć, a „herbowne stado” runęło głową naprzód w otchłań, rozwarła u stóp, własnymi rękami kopiąc mogiłę ojczyźnie...

I trzeba było aż klęski pierwszego rozbioru, by zbudzić ducha narodu, rozewrzeć oczy, wydrzeć umysły z czadu nadużyć życia i bez troski o wspólne dobra. I wtedy to zazgrzytał złowrogo łagodny zazwyczaj głos biskupa warmińskiego:

Płodzie, szacownych ojców noszący nazwiska!  
Zewsząd cię zastużona dolegliwość ściska,  
Sameś sprawcą tych losów...

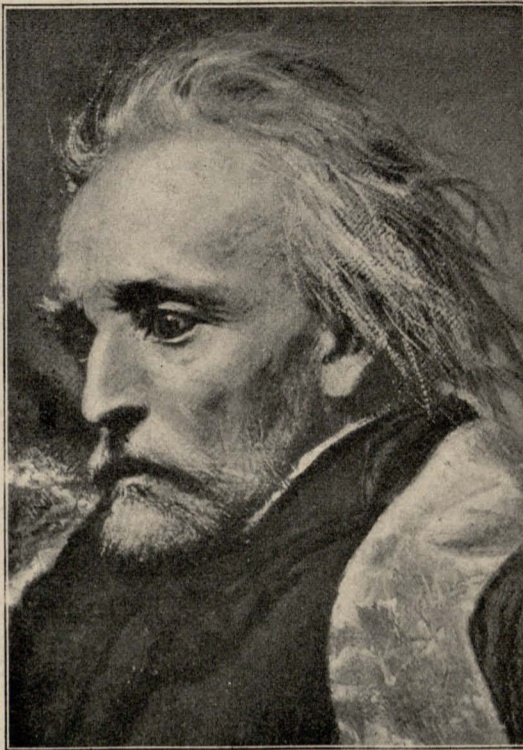
I nie jeden Krasicki rzucił w twarz narodowi tę straszną prawdę. Najlepszych ludzi „wieku oświecenia” dręczyła ta myśl złowroga. W kilka lat potem Naruszewicz w „Głosie umarłych” taką smutną wyśpiewał zwrotkę:

Czegoż się błędny uskarżasz narodzie,  
Zwalając los twój na obce uciski?  
Szukaj nieszczęścia w twej własnej swobodzie  
I boleję na jej optakane zyski!  
Żaden kraj cudzej potęgi nie zwabił,  
Który sam siebie pierwiej nie osłabił...

Ta myśl legła u fundamentów całej naszej wiekopomnej literatury politycznej Sejmiku Cztercletniego, która przez usta Kołłąta-

ja woła głosem wielkim, a trwogi i rozpacz pełnym: „Polacy! Ośmielcie się aby raz być narodem”...

Ośmielcie się! Chciejcie chcieć! Kto upadł z własnej winy, własną zasługą podnieść się może! Tę zasadę etyczno-narodową schodzący wśród przekleństw w grób „wiek oświecenia” pozostawił nadchodzącemu stuleciu. I było w tem i potępienie za grzechy, i zarazem gałązka oliwna nadziei. I oto stojący na rubieży wieków Woronicz,



SKARGA WIESZCZĄCY.

JAN MATEJKO.

praojciec mesyanistów polskich, w „Hymnie do Boga” takie wypowiada ważne słowa:

Więc, gdy nie możesz karać bez przyczyny,  
Los nasz być musi płodem własnej winy.

A w ostatniej pieśni „Sybilli” dodaje:

Czem się dzieje, pytacie, że to nieszczęść brzemię  
Tak już dawno znękaną trapi waszą ziemię?  
Gdy na Ojca i Rządcę tu nie pada wina,  
Między wami być musi źródło i przyczyna.

Ale zaraz pociesza:

Skoro więc z Nim się nowem przymierzem złączycie  
I na wskrzeszenie waszej sławy zasłużycie,  
Nie zagrziebie waszego rodu ta mogiła...

Oto myśli i nadzieje, odziedziczone po literaturze „oświecenia” przez wielką naszą poezję romantyczną, a zwłaszcza tę część jej najprzedniejszą, która przypada między rokiem 1831 a 1848-ym. Bo wszak te, a nie inne postulaty wygłasza Mickiewicz w „Księgach Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego”, kiedy woła do współników tułaczkiej niedoli: „Przetoż bądźcie doskonałymi, jako Apostołowie, a zawierzą wam narody, i co postanowicie, prawem będzie nie tylko dla was, ale dla wszystkich wolnych ludów... A każdy z was w duszy swej ma ziarno przyszłych praw i miarę przyszłych granic. O ile powiększycie i polepszycie duszę waszą, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice”.

A teraz otworzymy pisma tego, komu przeznaczone było „na grobowcach siadać, nieme mieć lutnie i słuchaczów głuchych”, a w jednym z fragmentów dramatycznych

„Beniowskiego” takie oto złote słowa odnajdziemy, włożone w usta Chrystusa: „Podniosę rękę nad tobą — lecz nie potępię: — albowiem będziesz ty ukrzyżowaną w dzieciach twoich i położoną w grób przez dzieci twoje i zmartwychstaniesz przez dzieci twoje”...

Bylebyśmy tylko chcieli chcieć, bylebyśmy mieli dobrą wolę!

Dobra wola!

Odnaleźliśmy słowo zagadki. Wielka wieść radosna, którą romantyzm polski przyniósł swemu narodowi, niby tęczę, rozpiętą stubarwnym łukiem na pochmurnym niebie, a zarazem surowy nakaz etyczny.

Dobra wola! To pierwsze słowo wielkiej poezji Zygmunta Krasińskiego, słowo anioła-stróża narodu, niby błogosławiąca ręka ojca, wyciągnięta nad zbłąkanym synem: „Pokój ludziom dobrej woli”.

I do tej „dobrej woli”, która jedna jest potęgą twórczą i odnowicielską, nie przestawał nawoływać całe życie: czy kiedy przeobrażenie Irydiona z Syna Zemsty w wolnego Syna Niebios czynił zależnym od jego wewnętrznej doskonałości, rzucając mu nakaz grzmiący: „Idź i czyn... czyn ciągle i bez wytchnienia”; czy kiedy w „Przedświcie” cisnął w serce narodu gromką pobudkę: „Zgińcie, me pieśni, wstańcie, *czyny* moje”; czy kiedy w „Psalmie nadziei” taką różną a dźwięczną rozbrzmiewał zwrotką:

Dość już długo — dość już długo  
Brzmiał na strunach wieszczów żal!  
Czas uderzyć w strunę drugą,  
W czynów stal!

A w „Psalmie Dobrej Woli”, tej koronie swej twórczości, który zamyka księgę naszej wielkiej poezji romantycznej, jak złotą klamrą, też myśli w najpodnioslejszej formie majestatycznego hymnu wyrażał:

Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie  
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,  
Daj nam, o Panie, świętymi czynami  
Śród sądu tego *samych wskrzesić siebie*...  
Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!  
Lecz *wolną wolę musiałeś zostawić*;  
Ty bez nas *samych* nie możesz nas zbawić!...  
Błagamy Ciebie — stwórz w nas serce czyste —  
Odnów w nas zmysły — z dusz wypłeni kąkole  
Złud świętokradzkich — i daj wiekuiste  
Śród dóbr Twych dobro — *daj nam dobra wolę!*

Z odmętu wieków, „sprzecznych żywiołów waśni”, z krwi i łez powodzi wynieśliśmy to hasło, jak talizman najdroższy, jak ostatnie duszy narodowej na długą drogę czyszcową namaszczenie. Iniech nam będzie balsamem kojącym na chwile najboleśniejsze żywota. I „niech żywi nie tracą nadziei”, bo, jak pięknie powiedział Krasicki, „rozpacz podziął nikczemnych”, bo wierzy święcie i twardo, że będziemy jeszcze umieli „samych wskrzesić siebie” — i pomnijmy na wielkie śpizowe słowa najszlachetniejszego z Polaków, Staszica: „Paść może i naród wielki, zniszczyć nie może, tylko nikczemny”.

Byleśmy chcieli chcieć...

Nad „ziemią mogił i krzyżów” zawisł anioł, lecący od betlejemskiej stajenki, zawisł na skrzydłach tęczowych, wielkich, przytulnych, jak kołysanka matki nad niemowlęciem, i szepce głosem cichym i łagodnym, jak szmer ciepłego wietrzyka:

*Pax hominibus bonae voluntatis...*



NARADA

R. BUNNY

ADA NEGRI: **BEZROBOCIE.** Przetł. MARYA KONOPNICKA.

Niby potwór dziwaczny, posępny, olbrzymi,  
Pod jasnym słońcem wznosząc mury swe  
złowieszcze,  
Fabryka nie oddycha, nie huczy, nie dymi...  
Południe już na niebie, fabryka śpi jeszcze.

Nawskroś ją oniemiła cichość martwa, głucha,  
Porzucono tu pracę, jak zbyt ciężkie brzemie,  
Pustka. Nikt się nie łoczy, nikt wrzawą nie bucha,  
Posępny bunt rozpaczyszędł, milcząc, na ziemię.

Ciemne mury—ruiną zdają się w tej ciszy,  
Pył zasął nieruchomo stojące warsztaty,  
Na murze skreślił węglem jeden z towarzyszy:  
„Bezrobocie—do słusznej za pracę zapłaty”.

I stanęły maszyny. Tylko ich błyszczące  
Zęby, co już niejedne zgryzły tutaj kości,  
Z potwornych szczęk żelaznych świecą, kiedy  
słońce  
Upadnie na ich cielska potokiem jasności.

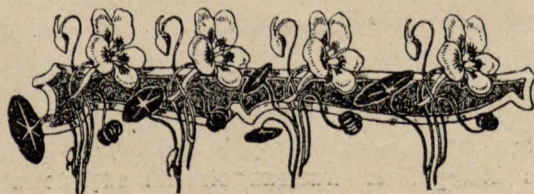
Znieruchomiły koła, odkłęte raz przecie  
Z błyskawicznego pędu, z wichrowych obrotów,  
Stanąwszy nagle, jako czaty na widocie,  
Bez tchu, z palcem na cynglu, na strzał każdy  
gotów.

Wszystko stanęło. Walce, czółenka, grzebienie...  
Na paleniskach ognie wygasły do końca,  
W kotłach wody zabrakło, a na to zniszczenie  
Szydlerczo pada promień jaskrawego słońca.

Ale po kątach sali, pod mrocznym sklepieniem,  
Pełza mar strasznych orszak dziwaczny,  
ponury,  
Powstają groźne widma z posępnym wejrzeniem  
I długi cień rozwłóczą przez wilgotne mury.

I patrz! Nagle rzecz każda, jak żywa, się rusza  
I ludzkie kształty bierze, ludzkie bierze twarze,  
Jakaś potężna, jakaś tytaniczna dusza  
Tchnie dech życia w warsztaty, w sale,  
w korytarze.

I patrz! Każda maszyna prorockim obliczem  
Spogląda, bożych sądów wieszcząca godzinę,  
Dyszą piersi motorów tchnieniem tajemniczem,  
Błyskają, niby miecze, sztaby stali sine...



Aż huknął głos ogromny:—O jutrzeńko złota!  
Nie jesteś ty, nie jesteś już od nas daleko...  
Gdy robotnik, przykutą do cewki, do młota,  
Odzyska nieśmiertelną dostojność człowieka.

Gdy wzejdziesz—sprawiedliwość wyprze nędzę  
z ziemi,  
Wszystkie oczy się wzniosą w promienne niebiosy,  
Ku jasnemu ideałom! Pod blaski twoje  
Podźwignie głowę dziecko i dziad siwowłosy.

O spłyn, miłości rzeko! spłyn ku nam, szumiąca,  
Żeby piersi spalone dostały ochłody!  
Iżby lud wziął chrzest życia z żywiącej twej  
wody,  
O płyn! O napój wargi spragnione tysiąca.

Już pierwszy zabrzask jutra ośpiewali ptacy,  
Już niebo się rozbiela, już dzień nam się staje,  
Dzień zbawiony braterstwa, swobodnej dzień  
pracy,  
Rąbek zorzy już płonie nad ziemi okrajem!

O wiosno serc, braterstwa łzami uroszonych,  
O światła, o wolności wymodlony cudzie,  
Gdy nie będzie zwycięzców ani zwyciężonych,  
Ani silnych, ni słabych, tylko bracia-ludzie!

KORNEL MAKUSZYŃSKI:

## Teatr okropności.

2)

Wszystko zresztą w sztuce takiej zależy od aktora: nic łatwiejszego, jak z takiej okropnej sztuki, krwawiącej, jak befszytk, zrobić aktorowi najweselszą humoreskę; jeden ton przesadny zwali całą efektowną maszyneryę, wielu zaś zwykle jest wśród publiczności takich widzów, którzy czekają z upragnieniem na taki jeden fałszywy krok, aby ośmieszyć niesamowite, szpitalne wrażenie i ująć mu za cenę uśmiechu. Nic łatwiejszego np., jak w sztuce z repertuaru „Grand Guignolu”, znać w Warszawie p. t. „Klub samobójców”, zrobić znakomitą farsę, co się zresztą warszawskim artystom bardzo dobrze udawało.

W twórczości, zasilającej scenę „Grand Guignolu”, znać nawet metodę; najbardziej drażniącym efektem scenicznym większej części sztuk jest *oczekiwanie* okropnego końca i niemoc uniknięcia go; który z autorów potrafi dłużej utrzymać widza w napięciu przez ociąganie strasznego rozwikłania, nie przeciągając jednakże czasu, coby groziło znieczuleniem nerwów, — ten odnosi sukces większy. Akcja sztuczki Laumana i Oliviera „En Plongée” odbywa się np. we wnętrzu łodzi podwodnej, która już nie ma powrócić na powierzchnię wody. Sztuczka ta odniosła rekord w wywołaniu wrażenia, rzecz prosta; już sam okropny pomysł pozwolił autorom na bardzo spokojne (mieli czas!) rwanie nerwów nieszczęśliwej publiczności.

Najbardziej wykwinłym katem, rafinowanym Torquemadą jest Jean Lorrain; w sztukach jego jest już perwersja w dręczeniu widza. Czyni to nie po barbarzyńsku, jak cała gromada autorów „Grand Guignolu”, bynajmniej. Lorrain jest we fraku i w rękawiczkach, dystygowauy, wykwinny i żyje nawet w konkubinacie z psychologią, bardzo misternie nieraz złożoną. Po pp. Olivierze, Herosie, czy Abricu, gilotynujących na scenie, wygląda Lorrain, jak Arsen Lupin obok — Pochronia, obok niego Marsan, autor znanej powszechnie jednoaktówki „Przy telefonie”, równie rafinowany inkwizytor.

Poza tem — byle była krew; kiedy dostawcom „Grand Guignolu” brak już pomysłów, wtedy najspokojniej pożyczają ich od znanych firm literackich, stąd ciągle na afiszach „Grand Guignolu” podtytuły: „wedle noweli Poëgo”, — „wedle noweli Maupassanta”, — „wedle noweli Prévosta”. Rzecz prosta, że idzie jedynie o wykrojenie szkieletu, po odrzuceniu wszelkich subtelnych tkanek psychologicznych, co nie jest, jako żywo, towarem dla „Grand Guignolu”. Tu trzeba męczącego strachu; tak



Afisz sztuki A. Lorde „System doktora Goudrona i prof. Plume”.  
Wedle Poëgo.

powiedział wielki mistrz teatryku, Andrzej Lorde, który na tym strachu robi majątek i jedno go tylko straszy: że się ludzie przestaną straszyć. Sam tedy spłodził w istocie przeraźliwą, beznadziejnie okropną sztukę p. t.: „Ostatnia tortura”. Proszę sobie wyobrazić menu obiadowe, kiedy restauracja taki zachęcający ma tytuł!

Niema i nie będzie na świecie zbrodni, któraby nie posłużyła już za motyw twórcom „Grand Guignolu”. Edyp z Kolonos odszedłby stąd z rumieńcem wstydu, że tak mało w życiu dokonał; powiesiłby się Neron na suchej gałęzi; oszalałby Lombroso, spostrzegłszy, jak mało umie. I doprawdy, „Grand Guignol” powinien być upaństwowioną szkołą morderców, gdyby tylko



M-lle Vatta, jedna z najdoskonalszych artystek „Grand Guignolu”.

teatralni niepotrzebnie wiodą dyskursy z autorami tej sceny; po co? — należałoby na przedstawienie posłać jednego wymownego policyanta, aby wywrócić cały repertuar do góry nogami.

Gadania o strasznym, demoralizującym wpływie „Grand Guignolu” są całkiem niemądrą pretensjonalnością; szkody z tego jest tylko tyle, że dwie albo trzy histeryczki zemdleją na widok ojca, duszonego przez syna, albowiem duszenie, jako operacja, dość długo trwająca, a z powodu trzepania nogami i rękami ofiary — efektowna, jest ulubione na tej scenie. Zresztą, jak już powiedziałem, „Grand Guignol” traktuje się, jako elegancką, bardzo elegancką szmirę i jako „osobliwość”. Paryż musi mieć osobliwości, bo to leży w jego dobrze zrozumianym interesie, a jedna Morga to za mało w tym rodzaju.

„Grand Guignol” ratuje stę dziś tylko reklamą i ohydny sztuczki w stylu „Nuit d’Illyrie”, wygrawszy już swój cały „mistrzowski” repertuar, który w istocie przez czas długi wzbudzał niesłychane zainteresowanie, ale do wszystkiego można się przyzwyczaić, więc i do jatek także. Pomysłowość francuska wynalazła już dziesiątki innych sposobów rozdrażniania nerwów, „Grand Guignol” należy do tych z domowej apteki.

„Grand Guignol” urodził się ze stęchłej atmosfery sybaryciego żywota. Wszelką perwersję rodzi sybarytyzm, który wyczerpał już wszystkie mniej lub więcej normalne środki podniecające, a stać go na najkosztowniejsze. W zdrowym społeczeństwie musiałaby tego rodzaju twórczość niezdrowa, jak ta, która użyźnia scenkę „Grand Guignolu” krwią i trucizną, poddać się szybko odruchowi albo mimowolnej odrazy, albo ustąpić przed ironicznym, a pogodnym uśmiechem; w społeczeństwie, w przeważnej swej części dekadenciem, rozgorączkowanym, nerwowym, zepsutym i zużytym, w „rzymskim” społeczeństwie, — ginie zaś dlatego, że trucizna straciła siłę, że się

stała za słabą i nie działającą. Największe przeto zachwyty zmieniły się w znudzone lekceważenie.

Więc w mordowni przy ulicy Chaptal dziwią się cudzoziemcy; piegowata Angielka kłapie końskimi szczękami, jakby uderzała w kastaniety, i jakieś murzyńskie książątka dziwi się, dlaczego się ludzie tutaj tak boją, a on się nawet nie wzruszył, kiedy bez żadnej przyprawy zjadał niedawno na surowo europejskiego dyplomatę.

Paryż.

BOLESŁAW PRUS:

## Kara śmierci.

KRONIKA TYGODNIOWA.

We Francji dokonywa się w tej chwili ciekawe zjawisko społeczne: coś — niby przewrót w pojęciach i uczuciach, coś — niby porzucenie ideałów bardzo „liberalnych”, a nawrócenie się do poglądów bardzo „konserwatywnych”. Mianowicie. Od trzech lat prezydent rzeczypospolitej nie zatwierdził ani jednego wyroku śmierci, nie spadła ani jedna głowa. Nagle w styczniu r. b. w miejscowości Béthune ścięto czterech zbrodniarzy, a w kilkanaście dni później w Carpentras jednego. W obu miejscach zgromadziła się mnoga publiczność, lecz, zamiast przypatrywać się egzekucji w „grobowej ciszy i skupieniu ducha”, widzowie zachowywali się jak można najmniej przyzwoicie: śmieli się, śpiewali, wykrzykiwali na cześć kate i wymyślali skazanym.

Co to ma być?... Objaw dzikości, czy też dowód, że kary śmierci skasować nie można, że w społeczeństwie jest ona niezbędna, że wreszcie — upomina się o nią głos ludu, głos Boga?...

Zapytany przez dziennikarza francuskiego p. R. Anderson, jeden z najdoświadczeńszych naczelników angielskiej policji, takie zdanie wypowiedział o karach wogóle:

— Jeżeli u nas trafia się na rok tylko 15 do 20 morderstw, zawdzięczamy to naszej surowości dla przestępców. U nas sprawiedliwość nie poddaje się uczuciom, jak to bywa we Francji. My przedewszystkiem dbamy o interes społeczeństwa, a dopiero później o jednostki. Nigdy nie wyrzeknę się przekonania, że najczęściej tylko pewność śmierci hamuje zbrodniarza. To też nieboszczka królowa Wiktoria, choć była pełna litości, jednak nie interweniowała na korzyść zbrodniarzy. Natomiast wasz prezydent zbyt często poddaje się osobistym uczuciom.

Taką jest opinia p. Andersona: zbrodniarzy trzeba karać surowo, szybko, bez żadnych sentymentów, jeżeli społeczeństwo ma być bezpiecznym.

— A co pan sądzi o naszych „apaszach” (bandytach paryskich)?... — pytał w dalszym ciągu Anglika dziennikarz.

— Myślę, że to jest wstyd dla całej Francji. Przed dwudziestoma laty my też mieliśmy swoich apaszów, lecz pozbyliśmy się ich bardzo prędko...

— Jakimże sposobem?

— Przez stosowanie kary cielesnej. Ile razy bandyta posługiwał się nożem lub rewolwerem, do ciężkich robót dodawano mu porcję batów... Zastosujcie u siebie „kota z dziewięcioma ogonami”, a za pół roku Paryż będzie wolny od apaszów...

Trzeba dodać, że w Anglii ciężkie robo-



PORTRET  
Z V Salonu dorocznego

L. JANOWSKI



PRZEGLĄD JEŃCÓW

JÓZEF BRANDT

ty są bardzo przykre, a najgorszą z nich ma być „koło obracające się”, czyli—deptak, w którym skazany musi dreptać po kilka godzin dziennie. Kto tego raz spróbował, nie chce narażać się po raz drugi.

Mamy więc za utrzymaniem kary śmierci dwa głosy: francuskiego ludu i angielskiego fachowca. Dodać trzeba, że w tym samym duchu przemawia większość sędziów kryminalnych i nawet kapelani więzienni: tylko kara śmierci jako tako hamuje zbrodniarzy...

Przypatrzmy się nieco bliżej tym opiniom: „głosowi ludu” i fachowców.

A naprzód: co to znaczy reakcja?...

Jeżeli uderzysz ręką w stół, to i stół uderzy ciebie w rękę; jeżeli gałąź drzewa ciągniesz na dół, to ona ciebie stara się pociągnąć do góry; jeżeli przestraszysz psa, ten znacznie szczekać na ciebie, albo nawet i ukąsi; jeżeli potracisz przechodnia na ulicy, zwymyśla cię, a przynajmniej spojrzy surowo. Oto są przykłady reakcji.

Coś podobnego odbyło się we Francji w sprawie kary śmierci. Od roku 1880 do 1901 ilość ciężkich przestępstw powoli, stopniowo zaczęła się zmniejszać, w następstwie czego w gazetach, w parlamencie i wśród publiczności odezwały się głosy, przemawiające za ulgami dla więźniów i zesłańców do ciężkich robót, tudzież—za zniesieniem kary śmierci. Była to więc czysta reakcja, czysty odruch społeczny: ponieważ zmniejszyły się zbrodnie, więc trzeba zmniejszyć i karę.

Jakoż zmniejszono. Więzienia francuskie stały się podobno wcale przyjemnymi miejscami pobytu; Nowa Kaledonia, dokąd wysyłają najgorszych zbrodniarzy, jest Edenem, gdzie tylko myślą o jednym: ażeby skazańcy mieli jak najmniej pracy, a jak najwięcej swobody i wygod. A nareszcie, gdy w styczniu roku 1906 Fallières został prezydentem republiki, począł ułaskawiać wszystkich bez wyjątku skazanych na śmierć, między którymi, powiedzmy to, znajdowali się nieraz straszni hultaje.

Gdy naprzykład jednego z takich zuchów spytano: dlaczego zabił przechodnia, który nawet nie miał pieniędzy? morderca odpowiedział: „ażeby nie wyjść z wprawy”... Inny zbój na pytanie: dlaczego zabił? odparł: „bo mi się nudziło”!

Krótko mówiąc, skutkiem rozmaitych ulg, jakich udzielano ciężkim przestępcom, morderstwa stały się częstsze i okrutniejsze, niekiedy wręcz—obrzydliwe. Zaś mordercy nie tylko nie okazywali żadnej skruchy, lecz przeciwnie, mieli doskonały humor w więzieniu, rachując napewno, że prezydent ułaskawi ich od śmierci, a w Nowej Kaledonii można będzie uprzyjemnić sobie pobyt.

Powiedzieliśmy, że zbrodnie stały się częstszymi. Istotnie, gdy w roku 1901 ciężkich przestępstw spełniono we Francji około 1,000, w r. 1905 liczba ich podniosła się do 1,313, a w 1907 do 1,434. Wobec tego w społeczeństwie zaczęła się reakcja nowa, wprost przeciwna dawniejszej. Gazety, osoby prywatne, rady miejskie i sądy przysięgłych tak natarczywie upominały się o stosowanie kary śmierci, że nareszcie parlament większością 130 głosów odrzucił wniosek usunięcia z kodeksu gilotyny, a prezydent postanowił znacznie ogólniej posługiwać się prawem łaski.

Ale powtarzam, jak poprzednio żądanie ulg dla przestępców było automatycznym odruchem społeczeństwa na zmniejszenie się liczby występów, tak znowu dziś wołania o gilotynę są również automatycznym odruchem

na zwiększenie się ilości zbrodni. Przyczem w tej ostatniej reakcji jedną z pobudek jest trwoga. Publiczność zaczęła lękać się bandytów, więc stała się dla nich okrutniejszą.

A oto dowód, że obawa odgrywa tu wielką rolę. Kiedy między rokiem 1901 i 1903 liczba ciężkich występów wzrosła o 31 procentów i o 43 proc., w tym samym czasie liczba wyroków, skazujących na śmierć (choć nie wykonanych) zwiększyła się o 200 proc. do 330 procentów!... Innymi słowy: oburzenie i surowość publiczna spotęgowała się sześć do ośmiu razy silniej, aniżeli występki. Coś podobnego zdarza się w latach drożyzny, że cena chleba—pod wpływem obawy głodu—rośnie daleko prędzej, aniżeli zmniejsza się ilość zboża. Coś podobnego widzimy w tumultach, kiedy małe niebezpieczeństwo, wywoławszy trwogę, staje się przyczyną wielkich nieszczęść.

Tak więc, w sprawie zniesienia czy utrzymania kary śmierci, publiczność kieruje się nie rozważą, nie jakimś obmyślanym pobudkami ale—automatycznym odruchem i obawą. Prawda, że odruch i obawa należą na tym świecie do potęg największych, ale—czy do najpraktyczniejszych?... to dopiero czas pokaże.

Co się zaś tyczy ludzi fachowych, np. sędziów kryminalnych i organów policyjnych, ci znowu w kwestyi kary śmierci zdają się ulegać rutynie, nałogowi. Tak było dawniej, więc niech będzie i teraz. Bardzo szanuję doświadczenie tych panów, ale swoją drogą ich poglądy przypominają mi starą medycynę, wedle której, jeżeli kto zachorował na gorączkę, trzeba było, ale to koniecznie trzeba mu było stawiać pijawki, cięte bańki i puszczać krew. Gdy gorączka była mniejsza, upuszczano mniej krwi, gdy większa—zwiększano dozę, działano więc odruchowo. Działano też pod wpływem obawy o zdrowie pacjenta i—pod wpływem rutyny.

Słowem—dawniejsza medycyna, oparta na krwi upuszczaniu, i—dzisiejsze kodeksy karne, oparte na karze śmierci, pod najważniejszymi względami są do siebie podobne.

Ale i dogmaty nasze ulegają głębokim, choć powolnym zmianom, a dzieje się to pod wpływem—badań naukowych i odkryć naukowych. Takie badania np. w kwestyi gorączki przekonały, że dla jej usunięcia nie zawsze należy puszczać krew, że zbyt upusty krwi mogą być szkodliwymi i że w pewnych razach gorączkę nierównie łatwiej daje się usunąć za pomocą chininy albo nawet—zwykłego odpoczynku...

I wogóle nowa medycyna, kierująca się nie „zwyczajami”, ale „badaniami”, doszła do wniosku, że—tak zwane heroiczne środki—jak: upusty krwi, wypalania ogniem albo lapisem, a choćby tylko—gwałtowne przeczyszczenia i wymioty nie zawsze są pożyteczne; owszem, bardzo często działają szkodliwie, pomimo że wiara w ich skuteczność utrzymywała się przez wieki.

Także na innym polu obiektywne badania naukowe wpływały na usuwanie środków heroicznych. Weźmy pedagogikę. Kto z nas nie pamięta nagan i kar, wymierzanych dzieciom za to, że w „arogancki sposób” przymrużają oczy?... A kto nie słyszał rozpraw np. na taki temat: co lepiej, czy za nieuwagę bić dzieci w skórę, czy poprzestawać na łagodnych upomnieniach?... No i bito w skórę i udzielano łagodnych upomnień, dopóki nie przyszła z jednej strony fizjologia, z drugiej psychofizyka, i nie powiedziały:

— Nie gniewajcie się na dzieci, które

przymrużają oczy, gdyż nie robią one tego na złość, ale—z powodu krótkiego wzroku... Również nie bijcie w skórę dzieci, jeżeli po kilkogodzinnej pracy nie chcą uważać, gdyż nie jest to z ich strony zła wola, lecz poprostu—znużenie, wyczerpanie sił nerwowych...

Takie zmiany zaszły w starej medycynie i w starej pedagogice; czy również coś podobnego nie zdarzy się w dziedzinie kodeksów karnych?

Niech mnie nikt nie posądza o zamiar bronienia wielkich przestępców przed karami, a choćby i przed szafotem. Bywają indywidualnie tak zbrodnicze, tak nikczemne, a przytem tak sprytnie, tak umiejące uplanować zbrodnię, że tracą wszelkie prawo do ludzkiego współczucia. Nie o to więc chodzi, ażeby nie ucięto głowy jednemu czy drugiemu hultajowi, ale o to, ażeby widziadło „kary śmierci” nie odwracało naszej uwagi od innych środków, może skuteczniejszych dla społecznego bezpieczeństwa.

Kto wie, czy zbrodnicość w społeczeństwie nie przypomina jakiejś choroby, która na zewnątrz objawia się wysypką, a wewnątrz polega na powolnym, nieznacznym rozkładzie tkanek. Gdy więc kodeks pakuje przestępcę do więzienia, to czyni, jak lekarz, który ową wysypkę zasypałby pudrem, albo zasłonił kiltajką; gdy zaś kodeks ucina głowę zbrodniarzowi, notabene—schwytanemu, to czyni, jak chirurg, któryby wyciął krostę. Wszelako oba te sposoby ani na włos nie powstrzymują wewnętrznego rozkładu tkanek, czyli—nie zmniejszają, nie łagodzą, nie usuwają złych uczuć i złych instynktów w społeczeństwie. To też widzimy od wieków jedno i to samo: więzienia są pełne, od czasu do czasu krew spływa z szafotów, ale liczba przestępstw z roku na rok albo pozostaje taką samą, albo nawet zwiększa się...

Fakta te w jaskrawy sposób dowodzą, że nawet najostrzejszy kodeks karny nie jest lekarstwem na choroby społeczne, zwane: występami.

Potrzeba więc czegoś innego, a przede wszystkim—jakiejś nowej nauki, jakiejś „medycyny społecznej” czy psychofizyki społecznej, która przedewszystkiem—wyjaśniłaby powody obecnej zbrodnicości społeczeństw, a następnie—wskazała rzeczywiste, nie urojone, środki lecznicze.

Kto wie, czy ta „medycyna społeczna” nie powie nam, że—jedną z najważniejszych przyczyn zbrodnicości jest... dzisiejszy pokój zbrojny w Europie, na który każde państwo marnuje co roku setki milionów rubli, tak potrzebnych dla podniesienia pracy, oświaty i publicznego dobrobytu?... I kto wie, czy na drugim miejscu owa „medycyna społeczna” nie postawiłaby obowiązku, ażeby: klasy zamożne, oświecone i moralnie goręcej zajęły się losem jednostek i rodzin nieoświeconych, niewychowanych, nie wiedzących nawet o tem, że istnieje jakaś różnica pomiędzy dobrymi i złymi czynami?...

Ochrony i sale zajęć dla dzieci, kasy emerytalne dla pracowników, przytułki dla starców, domki i ogródki dla robotników, kooperatywy wszelkiego rodzaju, towarzystwa, propagujące rozumną dyetę, trzeźwość i schludność, wreszcie—towarzystwa, opiekujące się więźniami i uwolnionymi z więzień—oto nowożytnie narzędzia do walki z występkiem. W kwestyi uzdrowienia społeczeństw stokrotnie większe oddałyby one usługi, aniżeli najsurowszy kodeks karny i najsprawniej działająca gilotyna.



BRONISŁAWA RYCHTER-JANOWSKA.

## Poetka domowych zaciszy.

Dom jest królestwem kobiety. Odwieczną rzeczą koleją na straży ogniska domowego stojąc, kobieta wyrobiła w sobie specjalny instykt domowy, który sprawia, że każdy, najskromniejszy chociażby kącik mieszkania ożywia się niejako, nabiera jakiegoś wyłącznie swojego, szczególnego znaczenia, kiedy dotknie go ręka kobieca. Zaczyna tam być cieplej, bardziej swojsko, zapano-wuje w nim ten miły sentyment domowy, którego darmo byłoby szukać w dużych reprezentacyjnych salonach z olbrzymimi żyrandolami na powałach i z mechanizmami kaloryferów po kątach.

Sentyment mieszkania, w którym rządzi i panuje kobieta, stał się też umiłowanym tematem bardzo uzdolnionej malarki, Bronisławy Rychter-Janowskiej, która w ubiegłym miesiącu właśnie przypomniała się Krakowowi piękną i bogatą wystawą dzieł swoich, małych rozmiarami płótna, lecz jakże dużych pełnią uczucia i talentu, którą w nich artystka dała.

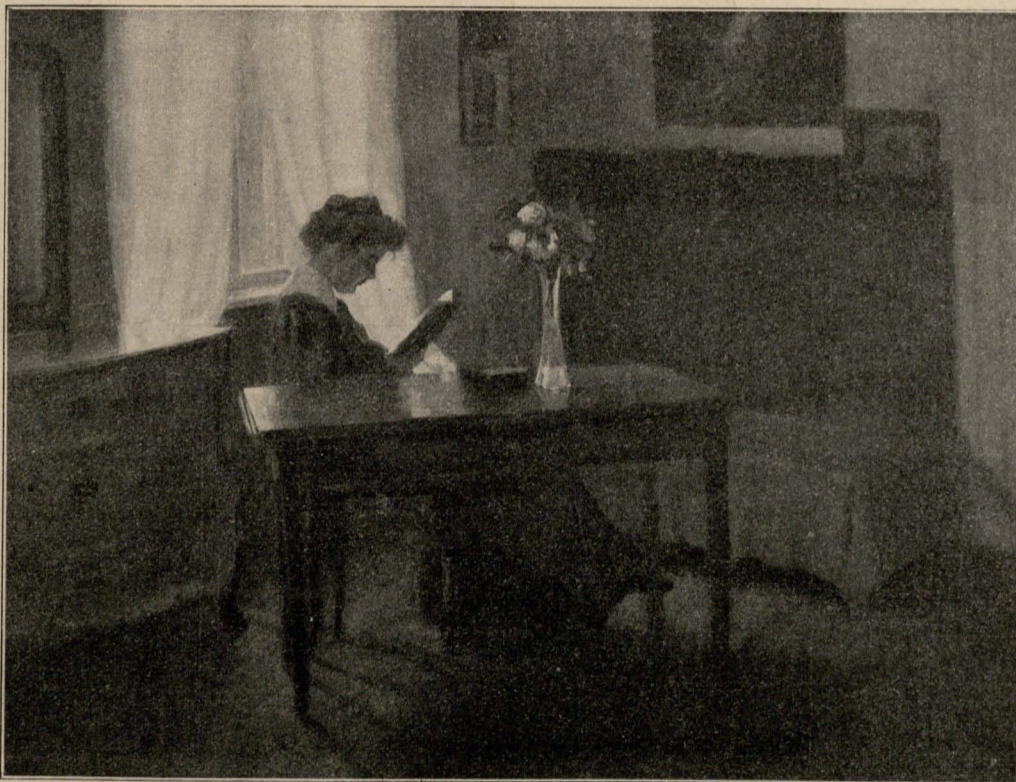
Specjalnością p. Rychter-Janowskiej są wnętrza mieszkań, są kąciki bezosobowe, stare jakieś sprzęty domowe w ciekawym i ciepłym świetle, umieszczone na tle wnętrza mieszkaniowych w taki sposób, że nic nie wysuwają się przed nie, ale służą raczej do zharmonizowania całości, do podniesienia charakterystyki całej tej martwej natury, którą je artystka otacza.

Nie chcę przez to powiedzieć, że inne rodzaje tematów, które utalentowana artystka z dużym powodzeniem opracowuje, nie zasługują na tak baczną uwagę. Stwierdzam jedynie fakt, że te drobne wnętrza mieszkaniowe zajmują wśród nich naczelne miejsce, że artystka poświęca im najwięcej uczucia swego i pracy.

Jedno z takich bezosobowych wnętrz mamy przed sobą: róg jakiegoś starego salonu, a w nim stary fotel i dwa krzeselka pod po-

krowcami. Nie może być już nic prostszego, nic mniej złożonego napozór. A jednak ile w tym całym kącie tego starego salonu szczerego sentymentu, ile głębokiego odczucia natury nie tych martwych sprzętów, ale ludzi, którzy na nich siadali, którzy je starannie pokrowcami przykryli. Nawet najuboższa i najmniej lotna fantazyja może z łatwością zaludnić ten pusty kącik postaciami, których charakter, wygląd, wiek predystynowała już niejako artystka, przedstawiając tylko jeden kąt ich mieszkania. Któż inny bowiem mógłby na takim fotelu siadywać, kiedy zeń w uroczystą chwilę pokrowiec szary zdejmą, jak nie jakaś czcigodna staruszka, która w otoczeniu córek może lub starszych dam przypatrywać się będzie zabawie generacji wnuków?...

Lecz oto inne wnętrza z przepysznie namalowanymi aniołami. Niema tu ani śladu kobiety, która te kwiaty w wazon szklany włożyła, a jednak czuje się ją i niemal widzi, jak siada do tego biureczka, aby napisać mały liścik. Bo mieszkanka tego zakątka musi być koniecznie młodą dziedziczką starej jakiejś stradycy, która bynajmniej nie zabrania pisania liścików, byle skromnych i krótkich a wymownych...



NA LETNIEM MIESZKANIU

B. RYCHTER-JANOWSKA

Tu znów młoda panna z książką w ręku na letnim mieszkaniu. Szaro-białe światło pochmurnego dnia letniego rozjaśnia przez zwyczajne muślinowe firanki skromny pokój z „lekkim” umeblowaniem, któremu chwilowa jego władczyni udziela swojego wdzięku. Cała kompozycja utrzymana w dyskretnym półtonie, doskonala pod względem technicznym, a jakim odczuciem chwili nacechowana!

„Jesień” przedstawia znowu temat zupełnie odmienny, chociaż w opracowaniu pod względem wielkiej umiejętności wyrażania szczerzego uczucia niezmiernie prostymi środkami jak-

że pokrewny z tamtymi wnętrzami! Schopenhauer powiedział, że zadaniem sztuki jest wyrażenie idei zasadniczej (die Grundidee) zjawisk. Czy może być lepsza ilustracja do tego twierdzenia, jak ta „Jesień” p. Janowskiej? Ten ciężkimi ołowianami chmurami zasnutą horyzont, ten wicher zimny, który rozwiewa dymiące ognisko i przenikliwym zimnem przejmuję kulącą się wieśniaczkę, którą spóźniona jakaś praca rolna trzyma na tem poczerńniętym, opustoszałym polu—to przecie tak bardzo przybliżyła jesień, tak plastycznie odsłania ideę zasadniczą tej pory roku, że w obrazie tym widać istotnie całą głębię twierdzenia genialnego filozofa, a w twierdzeniu jego całą wartość obrazu.

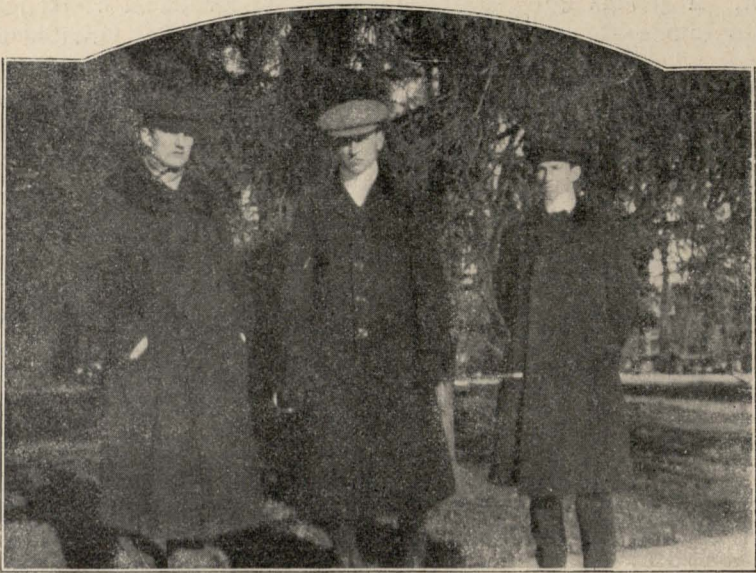
P. Janowska nie byłaby organizacją artystyczną tak miękką, uczuciową, najzupełniej kobiecą, gdyby nie próbowała nawet w środkach i materiale swej artystycznej twórczości zbliżyć się do tej dziedziny prawniewieści, której symbolem jest igła i kołowrotek. Oto stworzyła sobie nowy rodzaj aplikacji sukiennych, robionych w ten sposób, że z różnobarwnych, zszywanych z sobą kawałków sukna kombinuje się całe pejzaże, sceny rodzajowe i t. p. Bardzo ciekawa i ładna jest na przykład aplikacja, p. t. „Letni wieczór”. Artystyczne jej zalety są tak oczywiste, że wykazywać ich chyba nie potrzeba. Można tylko wyrazić skromne pragnienie, aby wzór, tak szczęśliwie przez prawdziwą artystkę stworzony, znalazł jak najwięcej naśladowczyń wśród naszych pań, które dowody swej niezwykłej pilności i pracowitości składają najczęściej w postaci banalnych kwiatków i deseniów, haftowanych mo-zolnie wedle szablonowych wzorów z jakiegoś „Modellblattu”...

P. Rychter-Janowska jest już dzisiaj malarką znaną i uznaną, chociaż na stromą ścieżkę sztuki weszła przed ośmiu czy dziesięciu zaledwie laty, wprowadzona na nią przez brata swego, głośnego malarza Stanisława Janowskiego.



JESIEŃ

B. RYCHTER-JANOWSKA



SLUCHACZE KURSÓW ROLNICZYCH W WILANOWIE. P. CHWALIBÓG I DWAJ  
AMERYKANIE-ROLNICY PO BOKACH.

## KURSY ROLNICZE.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

W żadnym kraju nierolniczym nauka rolnictwa nie jest tak utrudniona, jak w naszym, który przecież był spichlerzem Europy, a i dziś mimo czasów przedział, z rolnictwa większość soków żywotnych czerpie.

Przyczyn nie wymienię, tkwiły one w lwiej części poza sferą akcji samego społeczeństwa. Ostatnie dopiero lata zrobiły wyłom ku lepszemu, umożliwiając inicjatywie prywatnej podjęcie tego bodaj najważniejszego dla nas zadania.

W szeregu obywatelskich usiłowań w tym kierunku niemalą zasługę położyło już Centralne Tow. Rolnicze, organizując za pośrednictwem specjalnej Sekcji Szkolnej 12-dniowe wykłady z dziedziny rolnictwa, uzupełniane praktycznymi wycieczkami licznej rzeszy słuchaczy, rekrutujących się ze sfer młodego ziemiaństwa, oficyalistów i wogóle pracowników rolnych.

Program kursów rolniczych, umiejętnie ułożony, obejmuje w skrótach całą omal teorię rolnictwa, a system wykładów trzymany w tonie popularnych prelekcji, udostępniony dla wszystkich.

Świeżo właśnie między 18 a 30 stycznia odbyły się rzeczony kursy rolnicze, gromadzące stu z górą słuchaczy z różnych stron kraju, nie wyłączając Litwy, Wołynia i Ukrainy.

Pozwolę sobie przytoczyć w *Tygodniku Ilustrowanym* całkowity program wykładów w nadziei, że zarówno poszczególne przedmioty wykładu, jak i nazwiska prelegentów z organizatorem kursów rolniczych, p. Władysławem Wilczyńskim, na czele, o doniosłym znaczeniu tychże dla ogółu zaświadczą.

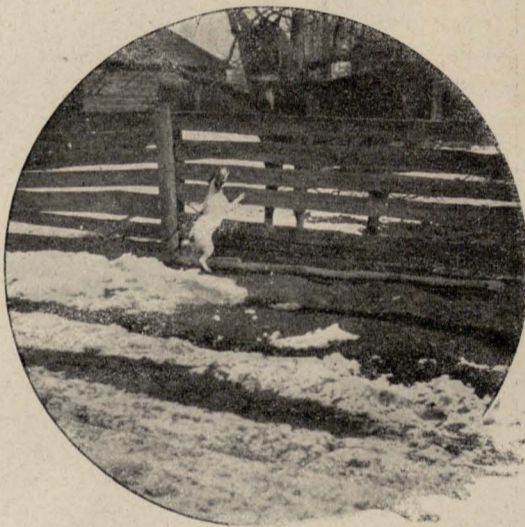
Więc w skład wykładanych przedmiotów weszły: Chemia rolnicza (p. W. Brykner), Gleboznawstwo p. St. Miklaszewski), Uprawa roli (p. T. Piwnicki), Fiziologia roślin (p. Z. Wójcicki), Maszyny rolnicze (p. St. Biedrzycki), Nawozy sztuczne (p. K. Aufszlag), Obornik (p. K. Dulęba), Okopowe (p. St. Jankowski), Uprawa łąk (p. Cz. Skotnicki), Bakterie w rolnictwie (p. W. Wilczyński), Zielone nawozy (p. St. Moszczeński), Gorzelnictwo p. Cz. Bóczkowski), Fiziologia zwierząt (p. J. Sosnowski), Żywnienie inwentarza (p. K. Różycki), Żywnienie krów mlecznych (p. W. Meylert), Tuczenie (y. F. Makomaski), Wychów cieląt (p. St. Dłużewski), Nierogacizna (baron Z. Heydel), Ogólne zasady hodowli (p. St. Chaniewski), o porządkach w oborze (bar. Z. Heydel), Weterynaryja (p. L. Dobrzański), Owce (p. T. Piwnicki), Mleczarstwo (p. Z. Chmielowski), Ratownictwo (dr Łazarowicz), Zarząd gospodarczy (p. A. Wieniawski), Melioracje rolne (p. W. Meylert jun.).

Obszerny ten program teoretyczny uzupełniono wycieczkami, w celu praktycznych objaśnień.

Zwiedzono więc składy maszyn rolniczych p. A. Grodzkiego (pp. Kowalski i Trylski, stację oceny nasion, Pogotowie ratunkowe, Warszawską mleczarnię parową, Muzeum Przemysłu i rolnictwa, wreszcie pod przewodnictwem p. Wł. Wilczyńskiego udano się na wycieczkę *de visu* z niektórymi praktycznymi inowacjami wzorowego gospodarstwa dóbr wilanowskich.

Dzięki uprzejmości p. St. Maciejowskiego ostatnią wycieczkę moją Czytelnikowi przedstawić mogę w ilustracyach, nadmienając, że szczegółowych objaśnień na gruncie udzielali, podejmując gościnnie przybyłych, główny administrat., p. J. Stempkowski, i rządcą, p. K. Twardowski, dział buchalteryjny demonstrował rachmistrz dóbr, p. Jakób Mściwowski, a skarby biblieczne i osobliwości pałacu miały wymownego prelegenta w p. K. Przelawskim, bibliotekarzu wilanowskim.

W gronie słuchaczy kursów rolniczych, a zarazem uczestników wycieczki zwracali powszechną uwagę dwaj Polacy z Ameryki, niedawno osiedli z powrotem w ojczyźnie, p. Ostrowski z kutnowskiego, i Wasikowski z Piotrkowskiego, w towarzystwie młodego ziemianina z Kieleckiego, p. Chwaliboga.



NIEPRZYJACIEL

Początek zrobiony. Życzyć tylko należy, aby „kursy rolnicze” w przyszłości stały się trwałą podstawą szkolnictwa rolniczego.

K. LASKOWSKI.

## PRZYJACIELE POLSKI WE FRANCYI.

Coraz to z nad brzegów Sekwany dochodzą nas wieści o odradzających się sympatyach Francji dla Polski. Przed paru tygodniami zapisaaliśmy na tem miejscu hołd Gabryela Dauchot „nieśmiertelnej Polsce” złożony. Dziś—mamy do zanotowania nowy objaw przychylności.

Miesięcznik paryski *Les Pages Modernes* poświęcił zeszyt grudniowy Polsce współczesnej, politycznej, ekonomicznej i społecznej. Dzięki usiłowaniu polskiej Agencji prasowej i jej dzielnego kierownika p. Kazimierza Woźnickiego zebrano w jednym zeszycie prace autorów polskich. Więc p. Woźnicki pisze o Polsce i Europie, p. Edward Maliszewski o Polsce pod względem etnograficznym, p. Stanisław Kozicki o kwestyi społecznej w Polsce, p. Henryk Radziszewski o si-

le ekonomicznej Polski. Autorowie szkiców o trzech częściach Polski ukryli się pod pseudonimami.

Wymienionych autorów znamy z sumiennosci, którą też nacechowane są cytowane prace. Nie o nich więc mówić zamierzamy. Pragniemy raczej podkreślić entuzjastyczną przedmowę pp. Marius i Ary Leblond. Polacy—czytamy tam—są narodem wspaniałym, dzielnym, pracowitym, zdolnym, płodnym. Przyszłość do nich należy, a przeciwności wzmacniają tylko ich zalety. Trzeba, aby każdy naród liczył się z Polską, a w szczególności Francya, która jest do niej najbardziej podobna, która będzie jej najbardziej potrzebowała aby spełnić swoją misję humanitarną na świecie”.



MARIUS I ARY LEBLOND.

Nie krytykujmy zbyt pochlebnego naszego wizerunku, ani też ustępu o stosunku Francji do Polski. Zapytajmy raczej, kto są ci nowi przyjaciele nasi?

Młodzi literaci, urodzeni gdzieś pod zwrotnikami, na Guadelupie, bracia, prowadzący razem pracę literacką i społeczną. Tam, na dalekim od nas zakątku rosy w sercach ich uczucia miłości i poszanowania dla narodu, którego dzieje przedstawiały się im, jako symbol nieustannego dążenia do wolności. I temu przywiązaniu dali wyraz po przybyciu do Paryża, występując z inicjatywą postawienia pomnika Mickiewiczowi w stolicy świata, gdzie działał i nauczał z urzędowej katedry kolegium i z „trybuny ludów”.

*Spiritus flat, ubi vult...* Ziarna sympatyj polskich kielkują czasem nawet za wielkimi morzami.

## WENECYA

D-ROWI STEFANOWI P.

Nad polami jesienna rozwleka się nuda,  
Wiatr na szybach żalobną symfonię wygrywa,  
A mnie śnią się pałaców marmurowe cuda,  
Kraina słońca wiecznie jasna i szczęśliwa.

Koronkowe, jak w bajce zaklęte, rzeźbienia,  
Tchnące czarem stuleci, owite snów ciszą,  
Zadumane, wpatrzone w migotliwe lśnienia  
Fal—co u ich stóp białych z lekka się kołyszają.

Jak ptak czarny, samotna gondola przepływa  
Bezszelestnie muskając szmaragdowe tonie —  
W jakimś oknie otwartem śpiew słodki się  
zrywa...

Na szybach wiatr wydzwania jesienną symfonię,  
A ja widzę blask słońca, toń morza rozlewną,  
Balkonów biel, mirtowym oplecioną gajem....  
O Wenecyo! przeczudna lagunów królowo,  
Można za tobą tęsknić, jak za własnym krajem

JANINA JARZYMOWSKA.





PAN, KTÓRY SIĘ BAWI

## Reduta.

### I.

Były huczne, były skromne,  
Była nudna, była chwacka,  
Ale takiej nie przypomnę,  
Jak reduta literacka!

Czar bił od niej tajemniczy w haszyszowym złudzeń dymie, woń konwalii, trel słowicy i wiośniany urok—w zimie. Ci, co z piórem, pod lazurem płyną w niebios dal: poeci, beletryści, publicyści, brać, co ludziom życie kwieci, gwardya stara, ale dumna, jak Don Kichot, rzekła żwawo: „Hej, Warszawo! dość zapustnych miałaś lichot! Noc szalona, wymarzona, noc tęczowa, dyamentowa, co się przeźni, jak sen pieśni, w złotych gwiazdach ponad głową; dam ci taką noc, Warszawo! stworzę cuda, z baśni snute, z Muzą w sojusz wejdz i z sławą! Literacką miej redutę!”

I fantazyja ta  
magnacka  
Wyaniela serc  
tęsknoty...  
Ach, reduto  
literacka!  
„Śnie na kwiatach,  
śnie mój złoty!”

Na skinienie magów władnych, co z marzenia tworzą światy, rój boginek leci ładnych, rój barwisty i skrzydłaty; Warszawiankom do poduszek nuca, kwila, szepcą, gwarzą, i tak dzwonią wciąż do uszek, i tak cudny raj pokażą, że Warszawa (tańcująca) jedno w sercu ma uczucie, o reducie śni tęskniąca, chce być



ZNAM CIĘ..

cała na reducie! Chce być cała z tymi razem, co ją mają w jutro wieść, co umieją, jak żelazem, walczyć słowem za jej cześć; co w ofierze żywot swój narodowi u stóp kładą, jak rycerze idą w bój z twarzą często od trosk bladą, a gdy umrą, — dziatwie ich grozi nędzy widmo krwawe... „Weźcie życie! weźcie sławę! lecz nie głóźdzcie dzieci mych!” Przez Styks z krzykiem rwie się wpływ duch, co górne miał poloty... Na ich wdowy i sieroty, o Warszawo! baw się, baw!...”

### II.

Z pudrowaną ślicznie głową  
Na wulkanie wre Warszawa:  
Śnię redutę rokokową  
Z czasów króla Stanisława.

Pyszny salon w złocie, w bieli, dźwięk muzyki, rozmów szmery, damy piękne, jak anieli, i wytworne kawalery; drobne nóżki, czarne muszki, buzie, wdzięcznie malowane, ócz lazury, ust purpury i peruki pudrowane. Król—bałamut, jak motylek, po salonie fruwa lekko, romansuje kilka chwilek i przy innej już—daleko! Dwór za królem idzie w tropy, szuka uciech czary jasnej; co mu przyszłość Europy! co mu przyszłość ziemi własnej! On chce szczęścia, chce rozkoszy, pocałunków, uciech szafu... I nic złotych snów nie płoszy? nic nie wali w gmach z kryształn? Tam z oddali idzie burza, szumi groźnie zamieć śnieżna... straszny obraz się wynurza: sina, biała dal bezbrzeżna... jakieś widma... jakieś mary... jakieś jęki, z wiatrem mknące... w mgłach się rozwił obraz szary... Dwór... dam bukiet... i król—słońce...

### III.

Będę redut czasy sławił,  
Czasy, wielkim sławne czynem,  
Gdy się książę Józef bawił,  
Między Lipskiem a Raszynem.

W onej dobie bohaterskiej zastęp orłów szumiał dzielny, wrzał pod Blachą świat rycerski i szef jego, wódz naczelny. Postać w burce i ułance, taka znana i kochana, śnić umiała przy kochance, pić i hulać aż do rana; lecz, gdy trąbki zadzwoniły, gdy na alarm bębny grały: „Dość, dość pieśczoł, kwiatku miły, gdzie mój rumak, gdzie koń biały?” I prowadzi wódz kochany swoje chwaty i kamraty, tak jak przedtem w huczne tany, na bagnety i harmaty. Po Warszawie mkną Francuzi, dla pań każdy gładkostowy, ale Basi, ale Rózi miłszy wojak narodowy, więc gdy razem na reducie obie armie szły w paragon, to w niewolę brał uczucie nie francuski butny dragon, nie grenadyer gwardyi starej, choć waleczny, ani słowa, ale ułan polskiej wiary, nasza chluba narodowa! Och, redutyż wtedy były! nie zapomnieć nigdy o tem. Prosto w słońce orły były bohaterskim, dumnym lotem. A czasami wprost z zabawy szedł do bitwy młodzian dzielny i sen marzył złotej sławy, sen piękności nieśmiertelnej. I do grobu uśmiechnięty padał, ludzkiej pełen troski, a mazurka dźwięk zaklęty grał mu echem z ziemi włoskiej.

### IV.

Ach, na serce to zasadzka!  
Złotych wspomnień ostra strzała!  
O, reduto literacka,  
Ileżes ty przypomniała!

Przypomniałaś swem nazwaniem, co ma w dźwięku ton marsowy, że my zawsze dumnie staniam i nie niżym hardej głowy.

Przypomniałaś w starej nucie, którą często łaż zamąca, że umiemy na reducie, ach, nie takiej!—trwać do końca!

Przypomniałaś dawne lata, przypomniałaś dawnych ludzi i pieśń dawną, co polata ponad ziemią—pieśń, co budzi.

Więc zaiste to zasadzka, co się w serce na wiek wkręci... o reduto literacka, będziesz w naszej żyć pamięci...



PAN, KTÓRY SIĘ NUDZI

### V.

Moim oczom duch się jawi, duch przeszłości fantastyczny, krwawa szata w mgłach się krwawi, uśmiech dziwny i tragiczny. Obok słyhać skoczne tany, obok gwary i maskary, dzwonią pełne roztruchany, szepcą słodko tkliwe pary. A na niebie tajemniczem, kędy legion gwiazd się toczy, lśni kometa z krwawym biczem i zagłada w widma oczy.

Jakby cudem zesza z płótina, Na wskroś serce mi przenika, Tęskna, blada, mądra, smutna, Zadumana twarz Stańczyka...



## Niepraktyczny bohater.

Podczas pamiętnego dnia majowego 1897 r., w chwili gdy płomienie obejmowały Bazar dobro-



Żaden jednak nie rzucał się w płomienie z odwagą tak szaloną, jak młody pokrywacz dachów.

czynny, młody pokrywacz dachów przechodził ulicą Jean Goujon w Paryżu.

Widząc dym i płomienie, buchające z drewnianego budynku, rzucił się do środka, gdzie skłębiony tłum kobiet i mężczyzn walczył zawzięcie o wydostanie się z ognia. Godne potępienia zachowanie się mężczyzn w chwili tej tragicznej znane jest wszystkim. Członkowie najstarszych francuskich rodów arystokratycznych odpychali, przewracali brutalnie kobiety, aby wydostać się z płonącego budynku.

Młody pokrywacz dachów porwał jedną z odepchniętych kobiet, wyniósł ją na ulicę i rzucił się ponownie w ogień.

Do pracy tej strasznej przyłączyło się jeszcze kilku bohaterów skromnych, jak Georges—woźnica, Picquart—robotnik gazowy, dwóch kucharzy hotelowych, którzy ratowali kobiety przez okna budynku płonącego, oraz kilku zecerów z drukarni sąsiedniej. Żaden jednak nie rzucał się w płomienie z odwagą tak szaloną, jak młody pokrywacz dachów.

Sam jeden uratował on z ognia dwadzieścia kobiet. Podczas akcji tej bohaterskiej płonąca belka spadła mu na głowę, ogłuszając silnie. Następnie zapaliły mu się włosy na głowie. Ugasiła je rączkami w rękawiczkach panna rodu arystokratycznego, którą wynosił z ognia. Wreszcie gdy nie było już kogo ratować, odszedł najspokojniej, i świat nie dowiedziałyby się o bohaterze, gdyby gospodarz, u którego odnajmował pokój, nie był zgłosił się do lekarza cyркуłowego z żądaniem pomocy dla biednego robotnika, leżącego w malignie. Robotnikiem tym był bohater nasz, pokrywacz dachów, Leon Henryk Desjardins, kawaler, liczący lat dwadzieścia trzy.

Minęły cztery lata.

Dnia 13 listopada 1901 r. robotnik jakiś upadł na chodniku Avenue de Villiers. Ponieważ nie mógł powstać o własnych siłach, policja wzięła go za pijaka i odstawiła na stację policyjną. Tam okazało się, że od dwóch dni nie miał nic w ustach. Nakarmiono go tedy, poczem komisarz policji, p. Michaud, zaczął badać nieszczęśliwego.

— Jak się pan nazywasz?

— Leon Henryk Desjardins.

— Desjardins?—powtórzył p. Michaud, posiadający pamięć encyklopedyczną w sprawach, tyjących się bruku paryskiego. Czy nie ten Des-

jardins, który odznaczył się tak bardzo podczas pożaru Bazaru dobroczynnego?

— Tak jest, to ja. Ale skutkiem uderzenia, odniesionego wówczas przez belkę spadającą, nie mogę już pracować na dachach, dostaję zawrotu głowy, zarabiałem więc, o ile mogłem, przez bieganie za dorożkami, wiozącymi podróżnych z dworców kolejowych, i odnoszenie im pakunków do domów. Nie zawsze jednak uda się przy tem zajęciu na chleb zarobić.

— Wszak posiada pan medal za ratowanie ginących?

— I byłeś pan udekorowany?

— Tak, posiadam Legię honorową,

— Dlaczego więc nienosisz pan wstążeczki?

— Bo wstyd mi, że jestem wykolejony.

— Nie pan powinienesz wstydzić się tego — zawołał p. Michaud—lecz ci, którzy pozwolili na to!

Ofiarowawszy następnie zapomogę Desjardinsowi i zapisawszy adres biedaka, zaprowadził go do izby policyjantów.

— Panowie — rzekł—to nie pijak, lecz bohater.

Ma się rozumieć, że zdarzenie powyższe wywołało wrzawę w prasie paryskiej. Zajęto się losem bohaterskiego pokrywacza dachów. Co prawda, rodziny arystokratyczne, którym tyle latorośli wyrwał z ognia, milczały zawzięcie, niemniej jednak składki zaczęły napływać obficie tak do redakcji dzienników, jako też na ręce p. Michaud.

Ciekaw będąc, czy choć jedna z pań ocalonych przypomniała sobie o bohaterze, udałem się do niego, pod adresem, wskazanym w dziennikach.

Mieszkał w jednym z tych ciekawych zakładów paryskich, składających się z kawiarni i winiarni na parterze, oraz szeregu pokojów umeblowanych na piętrze.

— Desjardins wróci niebawem—rzekła kobieta, stojąca za bufetem kawiarni, poszedł bowiem z panem Barrie do prefektury po wsparcie, udzielane mu przez prefekta.

— Powinni—zauważyłem—dać mu posadę rządową.

Pani Barrie, jak się bowiem okazało, była to żona właściciela kawiarni, uśmiechnęła się z politowaniem.

— Jeżeli dadzą mu—rzekła—stanowisko policyjanta, to nie zaaresztuje nikogo, tylko będzie pomagał kobietom i dzieciom. Jeżeli zaś otrzyma stanowisko dozorczy więziennego, to będzie nosił listy więźniów i kupował im tytuń,

Nagle otworzyły się drzwi i wszedł Desjardins rozpromieniony.

Właścicielka kawiarni postawiła próżne butelki do kąta, gdzie widniało już wiele innych.

— To wszystko moje!—zawołał Desjardins.—wskazując na butelki w kącie.—Pani Barrie utrzymuje w ten sposób mój rachunek.

Pani Barrie zmieniła dyskretnie temat rozmowy, zapytując, co słyhać nowego.

— Prefekt — odparł Desjardins — powiedział mi, że mam do wyboru cały szereg posad.

— I cóż pan wybrał?

— Wybrałem stanowisko posłańca!—zawołał Desjardins radośnie, dobywając z kieszeni blachę z wybitym na niej numerem i napisem: „Commissionnaire”.

— *Mon Dieu!*—zawołała pani Barrie.

— Ależ wybrałeś najpodlejszą z posad, jakie posiada prefektura do rozporządzenia.

— A jednak, ja chcę być posłańcem, chcę pracować na świeżem powietrzu. Otrzymałem przytem miejsce najlepsze, bo na placu Rond-Point na polach Elizejskich.

— O, tak—szepnęła ironicznie pani Barrie—i będziesz pan widywał wszystkie te panie, które uratowałeś, przejeżdżające obok ciebie karetami.

W tydzień później Desjardins zgłosił się do mnie po egzemplarz fotografii, którą zdjąłem z niego podczas pobytu w kawiarni.

I znów rozpromieniony był i szczęśliwy.

— To dla pewnej młodej osóbkii—rzekł tajemniczo, chowając fotografię do kieszeni.

— Jednej z tych panien, ocalonych w Bazarze?—spytałem.

— Ach, nie, panie! To dla mojej narzeczonej. Żenię się za tydzień. Nie uwierzy pan, co to za anioł dziewczyna. Kupiłem już meble. Zapłaciłem 900 franków.

— Wynająłeś więc pan już mieszkanie?

— Nie—odparł niepraktyczny bohater—odesłałem meble do mieszkania matki mojej narzeczonej.

I wyszedł, podśpiewując.

Nie widziałem go dwa miesiące. Pewnego wreszcie dnia, przechodząc placem Rond Point, słyszę, że ktoś woła za mną.

— *Monsieur! monsieur!*

Obracam się. Desjardins wita mnie uśmiechnięty, tryumfujący.

— Doskonale idzie!—rzecze po powitaniach—niech pan spojrzy, co za ubranie mam pyszne. Sprawilem sobie. Interes idzie dobrze.

— Zapewne dzięki żonie—wtrąciłem.

— Nie-e!—zaczął głosem niepewnym, ale nie wytrzymał, i wybuchnął:—Nie ośmieliłem się, panie! Bo ona kochała innego, a matka kazała jej wyjść za mnie. Dowiedziałem się o tem, więc powiedziałem dziewczynie, że nie chcę zarządzać jej szczęścia.

Często potem zatrzymywałem się na placu i gawędziłem z Desjardinem. Lecz interes widocznie nie szedł mu tak, jak sobie obiecywał. Póki bowiem płynęły składki z redakcji dzienników, można było dokładać, gdy jednak ustały, zawód posłańca nie wystarczał na utrzymanie. To też biedak wychudł i pobladł.

Podczas jednej z takich rozmów minął nas ubrany wykintnie, z miną dumną, znany klubowiec paryski.

— Tego pana — rzekł Desjardins, pokazując na odchodzącego—znam z pożaru Bazaru dobroczynnego. Wówczas obiecywał mi, przewrócony i oślepiiony dymem, że da 50,000 franków za uratowanie życia. Wywlokłem go na ulicę. Tak mocno trzymał się ubrania mego, że musiałem trzasnąć go po rękach, aby mnie puścił.

— I cóż pan zrobił — spytałem — z temi 50,000 franków?

Desjardins roześmiał się głośno.

— Och, on zapomniał o nich! Raz zatrzymałem go, aby przypomnieć dawne czasy. Wówczas zagroził mi, że każe mnie aresztować, choć byłem porządnie ubrany.

Spotkałem ponownie Desjardinsa przed tygodniem. Tym razem w składzie samochodów przy Porte-Maillot. Chudy był, błydy, źle ubrany. Wesołość znikła mu z twarzy.

— Cóż pan teraz porabiasz?—spytałem.

— Myję samochody... to jest... właściwie... pewien znajomy obiecał mi to zajęcie, więc czekam na niego.

— Zapewne jesteś pan głodny?

— *Oui monsieur!*—odpowiedział. S. B.



— Wybrałem stanowisko posłańca! — zawołał Desjardins radośnie.



ATAK CHORĄGWI POLSKIEJ.

## U nóg kozaka. \*)

„Rzeczpospolita leżała w prochu i krwi u nóg kozaka”.

Przychodziły nam na myśl niejednokrotnie te tragiczne bolesną treścią słowa Sienkiewicza, gdy przeczuliśmy karty obszernej, dwutomowej monografii Fr. Rawity-Gawrońskiego o Bohdanie Chmielnickim. Kto był ów człowiek tajemniczy a krwawy, któremu losy kazały być złym duchem Rzeczypospolitej, jej czarnym aniołem-mścicielem? Jakież jego ród i początek?

Byłże on chłopem, czy mieszczaninem, czy, jak chciało dawne, dziś obalone podanie, szlachcicem polskim herbu Abdank?

Kolebkę smutnej pamięci setnika czechryńskiego otaczają nieprzeniknione mroki...

Ale z imieniem Chmielnickiego wiążą się inne, nierównie donioślejsze pytania.

Jakież źródło jego przedziwnej fortuny politycznej? Jak się to stało, że kozak, chłop, o niskiej kulturze umysłowej, potrafił rozpalić na wschodzie Rzeczypospolitej takie krwawe, nieugaszone pożary, zamącić całą połać Europy, aż ten „hetman rozbójnicki”, wódz kilkudziesięciu tysięcy...

\*) Fr. Rawita-Gawroński. Bohdan Chmielnicki, tom I i II, Lwów, 1906—1909.



CAR ALEKSY MICHAJŁOWICZ

niego oddziału zbuntowanych kozaków, w rok nieledwie wyrósł na „księcia” Ukrainy, „Mojżesza wiary ruskiej” i „Machabeusza, tłumiącego zamiary nieprzyjaciół”, lżył posłów polskich, a do obrońców Zamościa pisał zuchwale: „I Wisła będzie nas za pomocą Bożą przenosiła”?..

Jakaż siła ciemna a nieznaną wyniosła go na najwyższy szczybel potęgi ziemskiej? Czy zgodzimy się na to, że Chmielnicki był istotnie „Mahabeuszem” uciśnionego narodu ruskiego, obrońcą znieważanej wiary dyzunickiej?

Ani jedno, ani drugie.

Chmielnicki wyrósł z Sicy, był jej dzieckiem nieodrodnym. Był synem tej organizacji dziwnej, kosmopolitycznej i bezwyznaniowej, gdzie szlachcic-katolik ocierał się o Tatara, a Wołoszyn chodził za pan brat z dyzunitą. O nienawiściach plemiennych



LWÓW Z R. 1655

ni wyznaniowych przyszył „princeps” Rusi o świecie swej niezwykłej kariery nie myślał.

Natomiast wyzyskał, i to nader umiejętnie, inną nienawiść: społeczną. Był, co się zowie, trybunem ludu. Budził dzikie instynkty odwetu w ciemnych tłumach chłopstwa—i na jego ramionach „wyniósł się ponad człeka i zagroził światu”. A umiał do tego ludu w swych uniwersałach przemawiać, niczem Nababa i Szwaczka w „Zamku kaniowskim”. Oto po zwycięstwie pod Korsuniem woła wielkim głosem do „wszystkich ludzi ukraińskich z obu stron Dniepru”, że „Polacy pragną ogniem i mieczem zdobyć i zniszczyć Ukrainę, domy zrujnować, w popiół i proch obrócić, ludność wymordować lub w niewolę zabrać, a co pozostanie—za Wisłę przesiedlić”.

Był tedy Chmielnicki takim samym wódcem hajdamackim, jak jego poprzednicy, Pawluk i Nalewajko, takimże hetmanem chłopstwa, jak współczesny mu Kostka Napierski na Podhalu, jak Stieńko Razin na Dnieprze...

Tylko los jego był różny.

Bo „Chmiel” umiał wyzyskać nie tylko przyjazny dla siebie zbieg okoliczności (nagła śmierć Władysława IV, rozterki bezkrólewia), ale, i przede wszystkim, niesłychane niedołęstwo i nierząd polski.

Pod Żółtymi Wodami ma pod swoimi rozkazami 10,000 kozaków i 8,000 Tatarów. To

garstka. Zgnieść w zarodku hydrę powstania ludowego było niezmiernie łatwo. I poszedłby setnik czechryński na pał, jak poszli inni.

Ale kresy, jak zwykle, niedostatecznie zabezpieczone. Ale obaj hetmani rozporządzają zaledwie szczupłą liczbą 5.000 wojska.

Przytem—Potocki zlekceważył bunt, nie postarał się dowiedzieć, jaką siłę wiezie z sobą Chmielnicki, nie przewidział zdrady kozaków rejestrowych, wysłał przodem syna Stefana zaledwie z 2,000 wojska, zgotował sobie i ojczyźnie klęskę pod Żółtymi Wodami i rozgrom korsuński...

Od pierwszego zwycięstwa buntowniczego hetmana upływa trzy miesiące... Chmielnicki rośnie w siły z dnia na dzień, staje się strasznym. A Rzeczpospolita traci czas na zjazdach i sejmach, wysłała Adama Kisiela do zuchwałego watażki, jakby do udzielnego księcia, bawi się w pakti i ugody, zamiast śmiałym ruchem wyciąć ropiącą się ranę...

I zamarzył o koronie. Bo zamiar dynastyczny był najukochańszem dziecięciem jego wyobraźni.

Ale nie ziściły się dumne rojenia. Śmierć Tymofieja „Chmielniczenki” na polach Suczawy w rozruchach wołoskich położyła kres ambitnym planom „księcia ruskiego”...

I tu zaczyna się tragedia Bohdana. Zbudziwszy z uspienia żywiołową siłę ludu ukraińskiego, która dla niego samego staje się groźną, opuszczony przez sprzymierzeńca-chana, omylony w najśrodkowych nadziejach, nie bacząc na następstwa tak ważnego kroku, oddaje się pod Perejasławem pod protekcję Aleksieja Michajłowicza; ten, który niedawno groził Krakowowi, przysiągł teraz „na wieczne chłopstwo Moskwy”.

Ale wkrótce przychodzi opamiętanie. Chmielnicki spostrzega, że ten nowy sojusz grozi wessaniem samoistości politycznej Ukrainy w silny i zwarty organizm państwowy Moskwy. Ale spostrzega zapóźno.

Napróżno pragnie cofnąć się. Nawiazuje rokowania z rządem Rzeczypospolitej... Zapóźno... Wysłany do Czechrynia pełnomocnik polski, Bieniewski, zastaje hetmana na łożu śmierci. Umiera dn. 27 lipca 1657 r.

Tragedya Chmielnickiego skończona.

Ale tragedia narodowa trwa, i trudno przewidzieć, kiedy się skończy.



BAZYLI LUPUL HOSPODAR MOŁDAWSKI

## Przyszłość kuli ziemskiej.

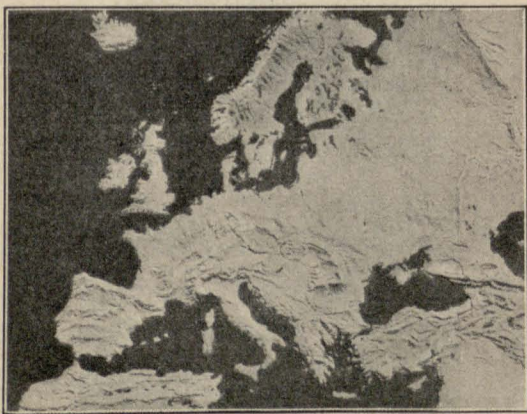
Ostatnie olbrzymie trzęsienia ziemi zwróciły uwagę wszystkich na przeszłość i przyszłość naszego globu. Różne objaśnienia i wyjaśnienia dawali geolodzy; równie powołani do tego są astronomowie, których prace rzucają światło na przeszłość i przyszłość kuli ziemskiej. Posłuchajmy ciekawych wywodów astronoma francuskiego, ks. Th. Moreux.

Przed milionami lat ziemia nasza świeciła także własnym światłem. Ale z biegiem czasu rodzimy żar straciła w zetknięciu z chłodną przestrzenią międzygwiazdową. I wtedy to otoczyła się powoli płaszczem mgieł, jak planeta Jowisz w stadium obecnym. Potem nadszedł okres ostateczny: utworzyła się na wierzchu kora, która uwięziła środek gazowy i płynny o wysokiej temperaturze. Niebawem opona stała się zbyt obszerną dla tego wnętrza: wtedy utworzyły się zmarszczki powierzchni—góry.

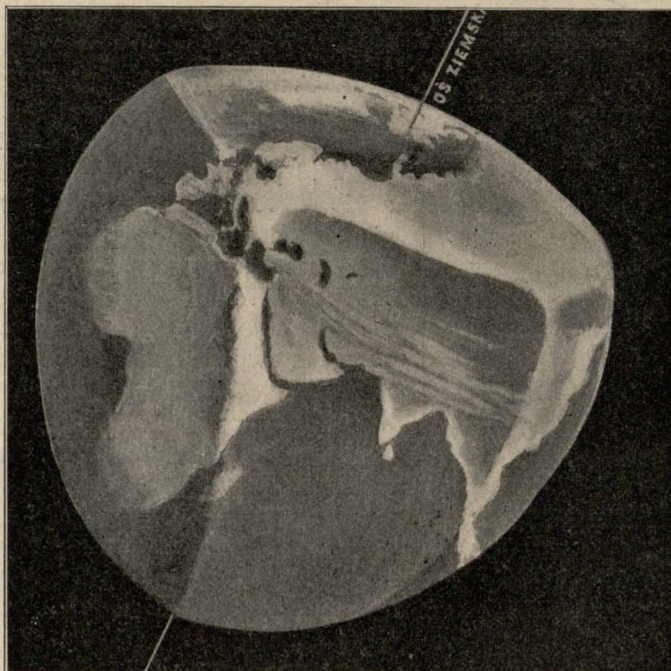
Ziemia jest okrągła—uczą nas podręczniki; ruch obrotowy spłaszczył ją ku biegunom, a wypuklił ku równikowi. Taki jest pogląd klasyczny. A jednak z powodu zmniejszania objętości skutkiem stopniowego ochładzania się, ziemia znalazła się w położeniu baloniku, z którego powoli wypuszczamy gaz; nabiera kształtu ostrosłupa o czterech ścianach i czterech wierzchołkach.

Przypatrzcie się ziemi. Trzy części jej powierzchni przedstawiają się jako depresje, wklęsnięcia: głębina oceanu Spokojnego, głębina Atlantyku i dno oceanu Indyjskiego. Tym głębom odpowiadają powyżej 60-go równoleżnika północnego trzy wierzchołki naszego ostrosłupa, które zarysowały się bardzo wcześnie, o czym świadczą obszerne podstawy gruntów pierwotnych. To tarcze: kanadyjska, bałtycka i syberyjska, której ośrodek znajduje się niedaleko Irkucka. Od tych trzech wierzchołków idą rozgałęzienia, które z przerwami ciągną się aż do bieguna południowego. Od czasu podróży Nansena wiemy, że czwarta ściana ostrosłupa może być umieszczona w miednicy arktycznej, podczas gdy sąd antarktyczny będzie czwartym wierzchołkiem naszego ostrosłupa.

Otóż naokoło tych krawędzi i tych wierzchołków, które pozostały niezmiennymi podczas wielkich okresów geologicznych i które tworzą—jeżeli się tak wyrazić można—kościec ziemi, rozegrają się przyszłe rewolucje rozwojowe. Wszystkie wypadki mogą być sprowadzone do trzech ruchów zasadniczych: 1<sup>o</sup> Każda ze ścian ściska się w kierunku do swego ośrodka. To ściskanie się dało początek wielkim głębom oceanów. 2<sup>o</sup> Na granicy ścian, czyli w pobliżu krawędzi tworzą się zmarszczki kory, które usiłują wywołać ruchy w kierunku z dołu dogóry. Tam utworzą się kiedyś załamania. 3<sup>o</sup> W miarę tego, jak kora ziemi grubieje, powierzchnie pochyłe, zawarte między ścianami i krawędziami, mają wyraźną tendencję do dyzlokacji. Tu znajdziemy okolice trzęsień ziemi, a doświadczenia poprą wywody teoretyczne. W następstwie okresów geologicznych bardzo poważne zmarszczki utworzyły się tu i owdzie, przeważnie



Widok plastyczny obecnego wyglądu Europy.



Kula ziemiska powoli przestaje być kulą. Staje się ostrosłupem o czterech ścianach, czterech krawędziach i czterech wierzchołkach. Jeden z tych wierzchołków przypada na Europę i jest widoczny na obrazku.

w kierunku prostym do załamania pierwotnych. Przyjrzyjmy się jeszcze raz ziemi, na której oznaczyliśmy ściany i krawędzie ostrosłupa. Naokoło tych punktów oparcia utworzyły się lądy, i łatwo poznać linię dyzlokacji. Wulkany nowe i dawne mieszczą się właśnie w punktach pękania, które ograniczają części zwalone. Co do trzęsień ziemi, to obszar ich jest bardzo znaczny; podlegają im te części ziemi, które możnaby porównać do równi pochyłych. Są one, do pewnego stopnia, niezależne od wulkanizmu i ściśle związane z pochyłościami wyraźnymi powierzchni ziemi. Dlatego to centry wstrząśnień są wogóle położone w głębiach morskich, idących wzdłuż wysokich linii tych powierzchni.

Znamy więc teraz już te części ziemi, które są uprzywilejowane pod względem wstrząśnień seismicznych. Zastanówmy się teraz, czy możemy przewidzieć epoki tych wypadków.

Chodzi oczywiście tylko o duże trzęsienia ziemi, bo, od czasu wynalezienia seismografu, wiemy, że ziemia drży nieustannie i że notujemy przeciętnie do 30 tysięcy wstrząśnień rocznie. A jednak, w pewnych okresach, trzęsienia ziemi stają się częstsze i trwają nieraz przez kilka tygodni. Jeżeli zaś są peryodyczne, to trzeba zbadać prawa, którym podlegają.

Jak wykazuje statystyka, trzęsienia ziemi stają się częstsze w zimie, niż w lecie, i to w stosunku 3<sup>1</sup>/<sub>2</sub>: 1. Równocześnie notujemy więcej zjawisk podobnych w nocy, niż w dzień. Występują najczęściej wtedy, kiedy działalność słońca zmienia się, to znaczy, ulega zwiększeniu lub zmniejszeniu. Ks. Moreux twierdzi, że udało mu się przewidzieć ostatnie trzęsienie ziemi, i przepowiada, że manifestacje seismiczne zmniejszą się będą powoli aż do roku 1911—1912, ale w tym okresie czasu wzmożą się, będziemy bowiem przechodzili przez okres minimalnej czynności słońca.

Spróbujmy wyjaśnić, czy pośrednio słońce nie wpływa na ściskanie się ziemi? Zagadnienie sprowadza się do wyobrażenia sobie przyczyny peryodycznej, która to utrzymywałaby korę ziemską ponad wnętrzem gazowym i płynnym, to znów, przeciwnie, pozwalałaby jej opierać się na niem. Każde rozszerzenie kory równałoby się zmniejszeniu ciśnienia na wnętrzu, każde ciśnienie wywoływałoby skutek przeciwny, a gazy wnętrza usiłowałyby wówczas wydobyć się, pociągając za sobą lawy płynne przez zmniejszenie ciśnienia w miejscach wielkich załamania. Wyobraźmy sobie w innej sferze zjawisk, że rozszerzyliśmy kamienie łuku mostowego: wpłynęłoby to na wzmocnienie budowy, podczas gdy ściśnięcie wywołałoby, przeciwnie, wypadek zawalenia.

Ale zmienne ciepło słońca nie może nic wytłómaczyć; wiadomo, że na głębokości szesnastu metrów w głębi ziemi temperatura jest niezwykle stała. Poszukajmy gdzieindziej—zwróćmy się do elektryczności. Naładowanie elektryczne atmosfery podlega zmianom znanym: spadek potencjału rano, maximum wieczorem, a raczej niebawem po południu. Jak widzieliśmy, trzęsienia ziemi są częstsze w nocy, niż rankami, Innymi słowy, kiedy rano atmosfera jest mało naładowana elektrycznością, często widzimy ściskanie się kory, tendencję do wypadków wulkanicznych. Ale, jak tylko ładunek elektryczny się zwiększa, następuje natychmiast rozszerzenie, i zjawiska wstrząśnień ustają. Zgodność ujawnia się jeszcze w przejawach w ciągu roku obu kategorii zjawisk. Ładunek elektryczny atmosfery zmniejsza się wogóle w zimie, a zwiększa w lecie. I tu zjawiska te są ściśle ze sobą złączone.

\*  
\*                      \*

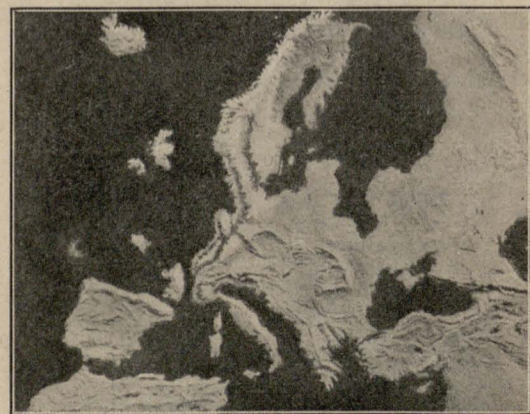
Ale, kiedy kora ziemiska stanie się zbyt gruba, aby mogła znieść te oscylacje peryodyczne, co stanie się z naszą ziemią? Kiedy ciśnienie na wnętrzu będzie zawsze dawało się uczuć, jak się zachowają gazy, ściśnięte w tym olbrzymim zbiorniku, od którego oddziela nas tylko nikła kora. Przerazające konwulsje zagrażają kiedyś naszej słabej planecie!

Zapytajcie astronoma, aby wam pokazał wstrząśniętą, zdewastowaną powierzchnię naszego satelity. Powierzchnia księżyca przedstawia nam prawdopodobnie smutną powierzchnię świata, na którym wulkanizm w konwulsjach przerażającego konania położył kres całemu życiu planetarnemu.

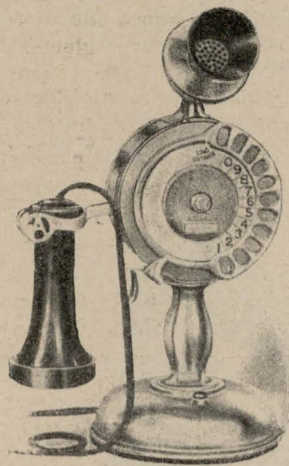
Groźby te są, na szczęście, oddalone. Przyjrzyjcie się drugiej mapce. To przyszłość Europy. Niema Francji. Z Anglii pozostały nikłe wysepki. Hiszpania stała się wyspą, Polska ocalała prawie cała...

Cała Francja leży niedaleko linii wielkiego załamania, o czym świadczą wulkany Owerinii. Co chwila notujemy wstrząśnienia od Belgii aż do Nicei. Oczywiście, płaszczyny są mało podatne do seizmów, ale czemuż jest płaszczyna tysiackilometrowa na ziemi? Z drugiej strony Francja leży w pobliżu wklęsnięcia śródziemnomorskiego, a ponadto Alpy opierają się o jedną z krawędzi ostrosłupa ziemskiego, idącą od Norwegii do Abissynii, i nie są zbyt starej daty. Zbudzenie się wulkanizmu będzie rzeczą straszną w tych okolicach ziemi.

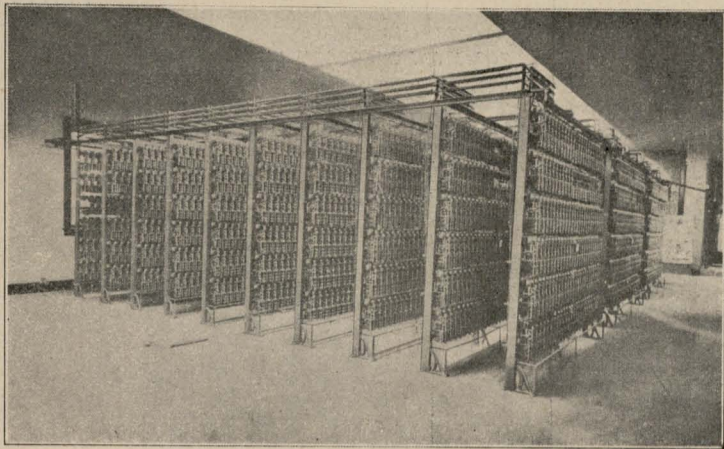
Takie są hipotezy ciekawe ks. T. Moreux, które podajemy oczywiście na jego odpowiedzialność. Hipotezy niewesołe. To też autor kończy wyrazem rezygnacji. „Wszystko mija, wszystko się przekształca, nic niema stałego, oprócz Te-go, który stworzył światy i który daje ludziom, kiedy Mu się podoba, wielkie i straszne nauki”...



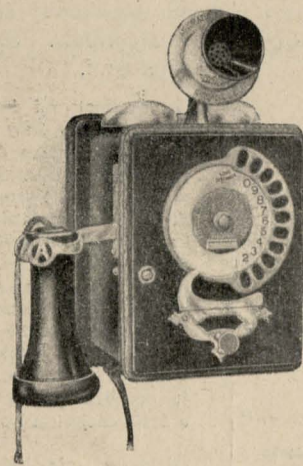
Widok plastyczny przypuszczalnego wyglądu Europy w przyszłości



Telefon automatyczny biurkowy



SALA TELEFONÓW W LOS\_ANGELOS



Telefon automatyczny ścienny

## PRZEKŁADY.

Żadne, najbogatsze nawet piśmiennictwo nie może zamknąć się w sobie i odgradzić od pracy twórczej narodów innych. Potrzebna tu jest wymiana, potrzebny dopływ, potrzebne dla każdego umiejętne czerpanie ze skarbnic obcych dla wzbogacenia skarbnicy własnej. Rolę tę spełniają w każdej literaturze przekłady, których znaczenie jest bardzo poważne. Nie zależy tu bowiem tylko na zaspokojeniu ciekawości, na powierzchownym zaznajomieniu się z tem, co jest gdzieindziej, ale — na głębszym obcowaniu ducha jednego narodu z duchem drugiego, na skrzyżowaniu dróg, które prowadzą wszystkich ku dalszym etapom cywilizacji i kultury artystycznej.

To obcowanie pozornie odbywa się u nas prawidłowo. Zdawałoby się przynajmniej, że świadczyć o tem może pokaźna ilość przekładów dzieł obcych na język polski. Pozory jednak mylą zawsze, a w danym wypadku poprostu w błąd wprowadzają dorywczego obserwatora naszego ruchu literackiego. Jeżeli bowiem zadamy sobie trud przejrzania plonu przekładów z ostatnich lat, przekonamy się z łatwością, że ilość bynajmniej nie odpowiada jakości.

Mnóstwo niepowołanych tłumaczy przyswoiło literaturze polskiej cały szereg średniej miary utworów obcych, natomiast to, co posiada największą wartość w literaturach: francuskiej, niemieckiej, angielskiej, włoskiej i t. d., próżno czeka na tłumaczy, a jeszcze próżniej na wydawców.

Oczywiście, najbardziej po macoszemu traktowane są rzeczy najwybitniejsze, te, którym z większą lub mniejszą słusnością należy się miano arcydzieł.

Pierwszy lepszy tłumacz, chwytający pióro dla łatwego, acz miernego zarobku, nie władający w stopniu dostatecznie artystycznym nawet językiem własnym, na szczęście, nie odważa się porywać na olbrzymie słowa, czuje bowiem swoją słabość i nieudolność wobec nich. Ludzie zaś wykwalifikowani, oceniając trudność przedsięwzięcia i odpowiedzialność swoją zarówno wobec pisarza obcego, jak i wobec literatury własnej, wiedzą, że na sumienne i choćby tylko poprawne wywiązanie się z zadania potrzebować będą tyle czasu i tyle wyłożyć muszą pracy, że nie wynagrodzi im tego żaden wydawca, z prostej konieczności handlowej zależny od zapotrzebowań i gustu szerszej publiczności.

Jaskrawy przykład tej zależności dały nam czasy najświetniejsze, czasy rozwielenia się literatury sensacyjnej.

Obecnie jednak pogoń za sensacją zaczyna już słabnąć, zainteresowanie bohaterami krwawych romansów i seksualnych powieści maleje, społeczeństwo ze stanu histerycznego podniecenia wraca powoli do równowagi.

Jest to chwila, w której należałoby zwrócić baczną uwagę na przekłady, oczyścić teren i przygotować się do poważnej, odtwórczej pracy, mającej na widoku nie plewy i chwasty, ale szczerą ziarną i kwiaty, która plenią się i rosną obficie

tuż obok nas, a są nam tylko ze słyszenia znane, z obijających się o nasze uszy nazwisk autorów i tytułów ich dzieł.

Z. D.

## TELEFONY AUTOMATYCZNE.

Ameryka zaprowadza obecnie przewrót w sposobie porozumiewania się mową bezpośrednią za pomocą wyłącznie elektryczności. Nowe urządzenie automatycznie telefoniczne da nam możliwość rozmawiania na dowolną odległość, bez pomocy obsługi osobowej na stacyi centralnej.

Na rysunkach, tu dołączonych, widzimy z frontu aparatu pół tarczy z jedenastoma otworami, z których dziesięć przeznaczono do tworzenia kombinacji numeru, nam potrzebnego, jedenasty zaś do połączenia się z oddaloną miejscowością.

Przypuszczam, że mamy zamiar połączyć się z numerem 2468: wówczas palcem, umieszczonym w otworze, oznaczonym Nr. 2, przesuwamy tarczę w lewo aż do naciśnięcia tym palcem haczyka, u dołu aparatu umieszczonego, następnie tarcza przy pomocy sprężyny wraca do swej pozycji, a my, umieszczając palec w otworze, oznaczonym Nr. 4, znów tarczę przesuwamy w lewo aż do naciśnięcia haczyka, poruszając tarczę, by powróciła do swej pierwotnej pozycji, i powtarzamy to samo z numerami 6 i 8. Po skutecznieniu tej czynności zdejmujemy słuchawkę z wieszaka, a to wywołuje dzwonięcie użądanego abonenta, co trwa do zdjęcia przez tegoż słuchawki z wieszaka przy aparacie, lub też zawieszenia jej przez przywołującego do rozmowy. Przyrząd, zwany „Baterią łączników“, jest właśnie głównym czynnikiem przy automatycznym łączeniu abonentów telefonicznych.

KONNEKTOR

B. HORODYŃSKI.

## TATRY W ŚNIEGU.

Słońce zwolna zapada... W doliny spływają chłodne, wilgne fale mroku, chłonąc chciwie resztki światła dziennego. Po stokach ścielą się milczącymi szeregami zimno-stalowe cienie. I tylko tam, w górze, palą się krwawym, męczęńskim płomieniem ośnieżone wirchy i turnie.

Majestatyczna cisza zaległa martwe króle-

stwo skał, nabożnie przykłęka w dolinach, jakby za dusze zmarłych modlą się na Anioł Pański...

Oto już bliższe szczyty zamierzchły, zasunęły się welonem mroku; w przejrzystym powietrzu przeraźliwie boleśnie kreślą się ich blade kontury, kamienne, sine trupy poległych za wiarę rycerzy... I tylko na skraju widnokręgu świeci się, jak zamek czarodziejski, jak obiecana kraina szczęścia i dostatku, najwyższa turnia...

Ale po chwili i ona kloni ociężale głowę do snu nocnego, blednie, niemiej, zapada się w martwość...

Pierzcha z niej barwa życia, jak z twarzy konającego. Śmiertelna cisza pada z nagłą na wyniosłą krainę...

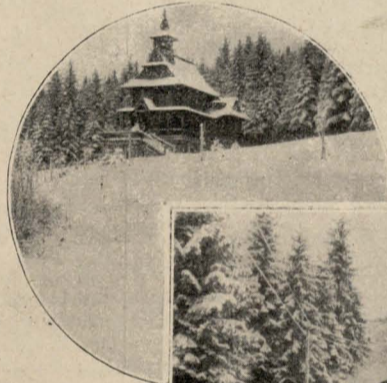
\* \* \*

Jasne, radosne południe.

Piękną dolinę zakopiańską zalewają potoki światła przenikliwego. W pełni oślepiającego blasku, jak duchy oblubienic, stoją tłumy wyniosłych, wiotkich świerków w puszystej okiści śniegu. Każdą igielkę rozeznasz, każdej trawki dzieje opowiesz.

Tu i tam, na stokach i w dolinach, srebrzą się połyskliwie zasypane śniegowe, nieprzebrane bogactwo zimy...

Ożwyczym prądem bije ci w piersi mroźne, suche, sypkie powietrze. Krew żywiej krąży w żyłach.



SANNA DO MORSKIEGO.

Hej! upić się, oszołomić słońcem, blaskiem, życiem, naturą!

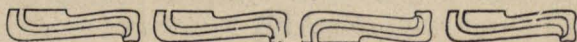
Hej! zajrzeć w oczy cichym olbrzymom Tatr, posłuchać tajnych głosów, co niosą się od niebotycznej ściany zakłętego w głązy rycerza Gewontu, nadziwić się pięknej królewnie tatrzańskiej, Morskiemu Oku.

Rażnie pobrzękują dzwonki u szyi końskich, suną z zawrotną szubkością proste sanki góralskie, wesoło pokrzykują woźnice.

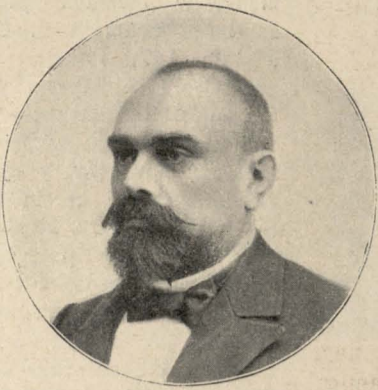
Gwarno i rojno w rozległej dolinie zakopiańskiej. Z rozedrganych iskrami brylantów szronu, z suchego skrzypu śniegu pod nogą w długich, odświeżających strojach ulicach, w niosących się z niewidzialnej dali wesołych głosów życia, z kwitnących rumieńcami mrozu twarzy i jarzących się oczu przechodniów i przejezdnych idzie mocny, jurny pęd życia, jak wichur na górskiej przełęczy...

Jasne, radosne południe.

△



## PORTRETY NA DOBIE.



Dr. Michał Sadowski, naczelny lekarz szpitala Wolskiego, redaktor „Medycyny i Kroniki Lekarskiej”, w 25-letni jubileusz pracy zawodowej.

## Z pod pióra.

IGNACY GRABOWSKI.

- Mogę więc prosić o wyjaśnienia?
- Z miłą chęcią. Nie będę mówił wszakże o najnowszym moim utworze dramatycznym, komedii stylowej: „Niewierny Tomek”, bo za kilka dni redakcja otrzyma jej egzemplarz, już wydrukowany.
- A dalsze plany?
- Przedewszystkiem — z zakresu dramatu, który jest moim najlubiejszym rodzajem twórczości. Pracuję obecnie nad nową „komedią heroiczną”, p. t. „Kasztelanka”, z czasów Odrodzenia. To obrazu — życie studentów w jednym z uniwersytetów włoskich.
- Oczywiście, wierszem.
- Bez wątpienia. Rytmika wiersza jest jednym z najdzielniejszych środków ekspresji dramatycznej.
- Czy będą tam występowały i postacie historyczne?
- Nie. Chodzi mi o charakter ogólny epoki.
- Czy panuje pan i nad dalszemi częściami swej „kroniki dramatycznej” o Stanisławie Augustacie?
- I owszem. Ale następne ogniwo, obraz walk bohaterskich konfederacji barskiej, będzie inaczej zupełnie ukute. Nie luźne sceny, związane jedynie wspólnością idei i chwili dziejowej, ale bardziej zwarte dramaty, w stylu greckim, z chórami.
- Jaką rolę będzie odgrywał Beniowski w tej drugiej części?
- Taką samą, jak w pierwszej: będzie mówił gorzkie słowa narodom. Ale nie wysunę go na pierwszy plan.
- A powieść?
- Najbliższym moim utworem beletrystycznym będzie powieść współczesna p. t. „Potomkowie rycerzy”. Oto wszystko, co mogę powiedzieć. O dalszych rzeczach jeszcze nie myślę.

GAMMA.

## PRZEGLĄD PRASY.

Pierwszy zeszyt tegoroczny *Przeglądu Narodowego* przedstawia się bardzo interesująco. „Stanowisko Koła Polskiego” charakteryzuje jego ustępujący prezes, p. Roman Dmowski, „Znaczenie religii w życiu narodowym” określa prof. Wincenty Lutostawski, o Bulgarii współczesnej pisze p. Stanisław Kozicki, o Polakach na Orawie na Węgrzech p. Grzegorz Smólski. Niezmiernie ciekawe i subtelne jest studium Zygmunta Wasilewskiego „Powieść-kinematograf”, w którym autor wprowadza daleką filiację romansu od bajki, przekształcając się z biegiem czasu w powieść ludową, która „ma rysy przemożne publiczności, słuchacza”, i literacką, która „ma cechy indywidualne autora”. Stąd też pospolita przeciwność dziś jeszcze między powieściami, znajdującymi powodzenie wśród czytelników, a utworami artystycznymi, podnoszonymi przez krytykę literacką. Jak cechą bajki była cudowność, tak cechą powieści ludowej pozostała niezwykłość, czyli poszukiwanie tego, czego przeciętny człowiek nie widzi w otaczającym życiu, ten sam głód nowości, który jest w dzie-

dzinie wzrokowej źródłem powodzenia kinematografów. Stąd tytuł: powieść-kinematograf.

„Kinematograf dostroił umysły do powieści ludowej — czytamy w zakończeniu artykułu — ale i bez niego dla umysłowości społeczeństw, szybko demokratyzujących się, jak nasze, cały świat przedstawia się kinematograficznie. W miarę dźwignia się w górę warstw krańcowych, demokratyzuje się typ umysłowości powszechnej. Patrzymy na świat, coraz szybciej pędzący naprzód, z pewnym zdziwieniem, i bodaj właśnie ta gra nieprawdopodobieństw jest potrzebą naszego umysłu w ciężkim okresie dziejowym przerabiania się społeczeństwa. Nim zacniemy nowy okres kultury umysłowej, opowiadajmy ludowi bajki o życiu miejskim i o cudach cywilizacji...”

Zbliżające się już ku końcowi VII-go rocznika wydawnictwo kwartalne Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza, p. t. *Przegląd Literacki*, wypełnia swoje zeszyty treścią obfitą i ciekawą, zarówno w dziale rozpraw, jak i notatek, materiałów, oraz sprawozdań. W ostatnim zeszycie czytamy m. in. głębokie, podniosłe studium p. W. Gostomskiego o „Weselu”, ujmujące w następującą syntezę istotę dzieła Wyspiańskiego:

„On zgłębił do dna otchłań tragiczną współczesnej niedoli narodu; ale na samym jej dnie dostrzegł i odczuł niezmierną moc tkwiącej w narodzie energii żywotnej; — żywiołowej energii, przenikającej wielkie jego ciała ludowe, duchowej energii, ukrytej w istotnym ognisku jego życia: w sercu każdego Polaka.

„Nie wzbudza on w nas płytko-optimistycznej wiary w nowe idealne ułudy, ale w swym głębokim pesymizmie daje nam odczuć tkwiącą w nas samych realną moc duszy polskiej, serca polskiego. Odczuwamy ją, tę moc niepożyta, w niezapomnianem wrażeniu, jakie w nas wzbudza przedziwna scena oczekiwania tętentu od krakowskiego gościńca. Jest to jedno z najpotężniejszych objawień w całej poezji polskiej, w całej sztuce polskiej”.

## Pokłosie wydawnicze.

*Adamowi Krechowickiemu*. Lwów, 1908.

25-lecie działalności literackiej i publicystycznej Adama Krechowickiego, redaktora *Gazety Lwowskiej*, powieściopisarza, dramaturga i krytyka teatralnego, uczczono w sposób najgodniejszy: grono przyjaciół i wielbicieli jego talentu złożyło się na piękną księgę jubileuszową. A między ofiarodawcami nie brak najprzedniejszych nazwisk naszej literatury współczesnej: Sienkiewicz dał z dziejów Grecji w upadku wysnutą nowelę p. t. „Wesele”; Orzeszkowa rzuciła garść wzniosłych „Wieczornych myśli”; Zapolska nakreśliła lekko subtelny profil nieszczęsnego, chorego dziecka w noweli p. t. „Krzyż Pański”; Hajota użyczyła obrazka p. t. „List”, ze smutną postacią kobiety na gruzach własnego życia; Jeske-Choiński udzielił alegoryi: „Wrogowie złotego cielca”; Lubowski nadesłał aforyzm. Dramatami jednoaktowymi zasilili wydawnictwo p. p. St. Rossowski i Wł. Wróblewski. Dział historyczny i historyczno-literacki wypełnili p. p. L. Piniński, Z. Sarnecki, Fr. R. Gawroński, Ost. Barański, Wł. Bełza, M. Rolle, A. Wysocki. Zaslugi jubilata, jako publicysty i powieściopisarza, scharakteryzowali p. p.: A. Bieńkowski i Br. Gubrynowicz. Szczegółowa bibliografia pism Krechowickiego dopełnia całości.

*Władysław Bukowiński*. Poeta melodyj i głębin i poetka idei, wydawnictwa *Sfinks*, Warszawa, 1909.

Poeta pisze o poetach: Selim, autor zbioru poezji p. t. „Z marzeń i życia” i poematu: „Na greckiej fali”, pisze o „poecie melodyj i głębin”, Adamie Asnyku, oraz o „poetce idei”, Maryi Kopnickiej. Przystępuje do swego przedmiotu nie z zimnym skalpelem uczonego, ale z gorącą wyobraźnią i płomiennym sercem. Nie analizuje na zimno, ale spowiada się raczej z wrażeń, doznanych przy rozczytywaniu się w utworach tych, w których twórczości pokrewne swojej duszy odnajduje nuty. Są to więc raczej impresje, niż rozbiory, tem więcej, że autor wplótł w nie zręcznie własne wspomnienia i przeżycia. Gorące umiłowanie przedmiotu, szczere odczucie piękności treści i formy zarówno poezji Asnyka, jako i Kopnickiej, szlachetność stylu i języka — oto czem charakteryzują się szkice literackie Selima-Bukowińskiego.

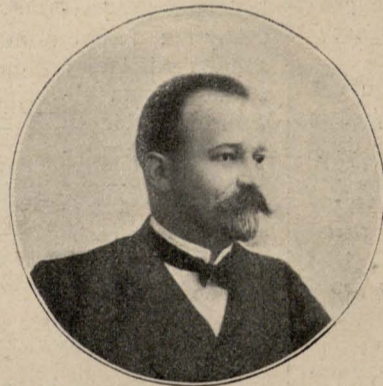
## ZMARLI.

ZDZISŁAW CZARTORYSKI. Zmarł w Berlinie na tyfus brzuszny w sześćdziesiątym roku życia. Był on przedstawicielem galezi wielkopolskiej znakomitego rodu, synem ks. Adama, oficera wojsk polskich, a wnukiem przez matkę znakomitego obywatela, hr. Tytusa Działyńskiego. Ks. Zdzisław Czartoryski był właścicielem dóbr Sielece



i Jutrosin. Posłował przez czas jakiś do sejmu i do parlamentu, ale, zrażony waściami partyjnemi, zupełnie usunął się od polityki, zajął się gospodarstwem rolnem i życiem społecznym. Szeroki, liberalny umysł, zacy charakter, szeroka gościnność jednaly zmarłemu wszystkie serca i szeroką popularność.

JAN FISZER. Znany i ruchliwy księgarz-wydawca, zmarł nagle w wieku lat 47. W ruchu wydawniczym polskim odegrał pewną rolę, nakładem



jego bowiem ukazał się cały szereg prac St. Przybyszewskiego. Zmarły był długoletnim współpracownikiem księgarni Gebethnera i Wolffa, zanim otworzył własną oficynę wydawniczą.

IGNACY BERNSTEIN. Zasłużony folklorysta, etnograf, bibliofil i bibliograf, zmarł w Brukseli 22 stycznia r. b. Wydał w niespełna czterystu egzem-



plarzach owoc długoletniej pracy, katalog dzieł treści przysłówiowej, w którym uwzględniał 4,761 dzieł w 160-ciu językach. Zmarł w wieku lat przeszło siedemdziesięciu.

ALEKSANDRA TRAPSZOWA. Należała do tak zasłużonej dla teatru polskiego rodziny Trap-



szów. Występowała w rolach charakterystycznych na scenie teatru Małego, wywołując zawsze szczerze zadowolenie publiczności; była matką znanej artystki, p. Ćwiklińskiej.

ZOFIA MELLEROWA. Jedna z nielicznych autorek polskich, które poświęciły twórczość swoją teatrowi, zmarła przed tygodniem w wieku lat



sześćdziesiąt. Na konkursie dramatycznym im. Fredry uzyskała nagrodę za komedię „Falszywe blaski”, która cieszyła się przez czas jakiś dość znacznym powodzeniem. Prócz tego do spółki z Galasiewiczem napisała dwie sztuki z powieści Kraszewskiego „Chata za wsią”, które miały znaczną ilość przedstawień.

KAROL RÓŻAŁSKI. Artysta-muzyk, były profesor konserwatorium warszawskiego, znany szerokiej publiczności, jako dyrektor orkiestry operetki, zmarł w Warszawie w wieku lat sześćdziesiąt. Kształcił się w konserwatorium warszawskim pod



kierunkiem Apolinarego Kątskiego i Stanisława Moniuszki. Po dodatkowych studiach zagranicą powrócił do Warszawy i z Kątskim zorganizował świetną orkiestrę, w której grał także Ignacy Paderewski.

## NEKROLOGIA.

W dniu 21 z. m. w pełni sił żywotnych zmarł w 63-cim roku życia s. p. Kazimierz Gozdawa-Drwęski, b. właściciel majątków Glinno i Janowiec w W. Ks. Poznańskim, a następnie majątku Mierzynek w gub. płockiej w pow. lipnowskim, b. sędzia gminny, delegat Tow. Kred. Ziemińskiego oraz założyciel i prezes Dobrzejewickiego Koła b. Macierzy Szkolnej. Zmarły, jakby wprost zwyż powołany był do służenia społeczeństwu i wtedy dopiero prawdziwie żył pełnią życia, kiedy, stojąc na posterunku spraw publicznych, społeczeństwu



przynosił siły i niepospolity umysł swój w ofierze. Na szczególniejsze wyróżnienie zasługuje umiejętność współżycia s. p. Drwęskiego z ludem, którego serdeczną sympatią się cieszył, zyskawszy sobie u tegoż miano „Króla chłopów”. Tej spójni organicznej i zażyłości z ludem zmarły zawdzięczał możność krzewienia wśród niego oświaty i kultury, a z każdej do tego sposobności zawsze korzystał się starą. Zmarły pozostawia po sobie serdeczny żal rodaków i rodziny, którą przedwcześnie osierocił.

# NA „DACHU ŚWIATA.”

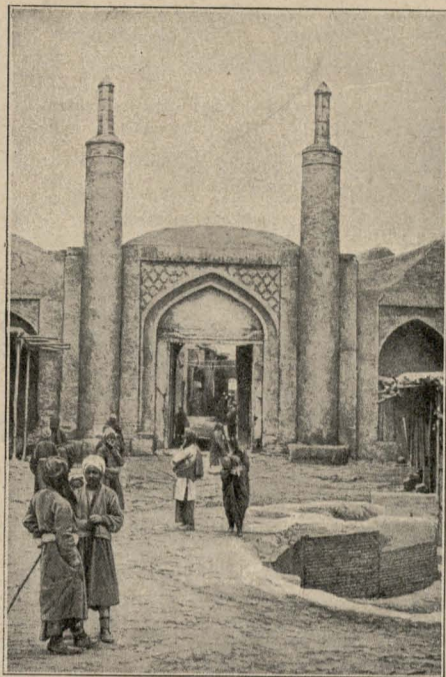
PRZEZ PAMIR.

Pewien Arab, zapytany, dlaczego Mahomet ustanowił pielgrzymki do Mekki, odpowiedział: „Po to, ażeby zobowiązać swoich synów do odwiedzania miejsc świętych, ale także po to, aby ich rzucić, przynajmniej raz w życiu, daleko od kolebki. Jesteśmy koczownikami, a miasta to więzienia”.

— Znasz napis, wyryty na frontonie karawanseraju Abbasa Wielkiego—mówił dalej.— „Świat jest karawanserajem, a my—karawaną”. Idź, przebiegaj ziemię, słuchaj i patrz. Oto ostatnie słowo mądrości...

W imię tych zasad arabskich nawet podróżnik Europejczyk jest mądry. A więc mądry był i komendant Lacoste, który puścił się w podróż „naokoło Afganistanu”.\*) Tylko „naokoło” dlatego, że dostęp do Afganistanu, tego klucza posiadania Azji Centralnej, do którego rości sobie prawo Rosya i Anglia — jest dla przeciętnego Europejczyka prawie niemożliwy.

Zatem szlak jego podróży wiódł z Teheranu przez Meszed do Aschabadu (Persya). Stamtąd do posterunku pamińskiego przez po-



Brama farbiarzy w Nisapur.

wia. To głazy—„pielgrzymy”. A przywiązana jest do nich ciekawa legenda i obyczaj:

— Pewnego razu ruszyły kamienie z góry Kuczana. Idą po drodze świętej, jako milczący towarzysze pielgrzymów. A idą obok nich, bo niema muzułmanina, który nie doznałby fanatycznej przyjemności w dopomaganiu im do osiągnięcia celu pobożnej pielgrzymki. Ręce pobożnych wędrowników posuwają je na dobrej drodze. Aż po kilku latach granitowi pielgrzymi przybywają do Meszedu. I jak tylko jeden z nich dociera do celu, tłum ogarnia radość fanatyczna. Przyjmują głaz z wielką pompą, tysiące rąk toczy go, aż do grobu świętego imana, Rezy...

Czyż to nie świetna ilustracja do słów Pisma Św.: „Wiara góry przenosi”?

A ten Kuczana, skąd dążą głazy, to niegdyś ożywione miasto—dziś prawie cmentarz. Trzęsienie ziemi w roku 1852 położyło mury i otwarło tysiące przepaści. W r. 1871 przyszło nowe. Mieszkańcy wzywają pomocy Allaha, wznoszą mury nowe, miasto kwitnie, jak nigdy przedtem. Aż 17 listopada 1893 r. nagle zaciemnia się niebo, biją pioruny, wznosi się ziemia i miasto zostaje odrazu pochłonięte, jakby przez falę olbrzymią. Nieliczne niedobitki jeszcze nie tracą nadziei, ale po dwóch latach przychodzi nowa katastrofa. Kuczana—miejsce, przeklęte przez Allaha, ofiarowane ciemnym siłom zniszczenia—pustoszeje, staje się cmentarzem, świadczącym, że historia powtarza się na różnych krańcach świata...

Za Kuczaniem, przez Aschabad, Bucharę, Kokandę do Andżianu podróżni jadą koleją



Wąwóz między Ali-Abadem a granicą rosyjsko-perską.

zakaspijską, więc wrażenia są mniej urozmaicone. W Andżanie, do dalszej wędrówki końmi, do komendanta Lacoste i kapitana Enzelme, przyłącza się wielki myśliwy, „Francuz pochodzenia polskiego”—jak go nazywa autor—agent handlowy z Paryża, p. Zabieha (?) (może Sapieha, albo Zabieło).

Stąd już droga wznosi się znacznie, aż do dachu świata—Pamiru. Podróżni dążą przez przesmyki górskie, leżące na wysokości 3—4 tysięcy metrów. Lipiec—pomimo to dokucza im mróz i śnieg. Naokoło pustka smutna i zimna. Góry nagie i ponure. To Kizil-Art—wejście do Pamiru.

Dalej—lampa Pamiru: Czirag-Tasz, wielka góra poszczerbiona. Co noc na wierzchołku jej widać zdala wieczne światło, z którym łączy się ciekawa i barwna opowieść o lampie Aladyna, o bezmiernych skarbach, w łonie góry ukrytych, o grotach świecących...

A przecież te pustkowia nie są bezлюдne. Mieszkańcy—najpierw Sartowie, potem Kirgizi—przyjmują cudzoziemców gościnnie. Z dobrogo serca, czy przez obawę—nie wiadomo. Tylko kobiety wstydliwie zakrywają swoje lica, przedwcześnie zestarzałe, zwiędłe i brzydkie. Więc ostrożność niepotrzebna, a tak pospolita,



W wąwozie Ak-Bajtala, szczyty wiecznych śniegów (4,540 m.)

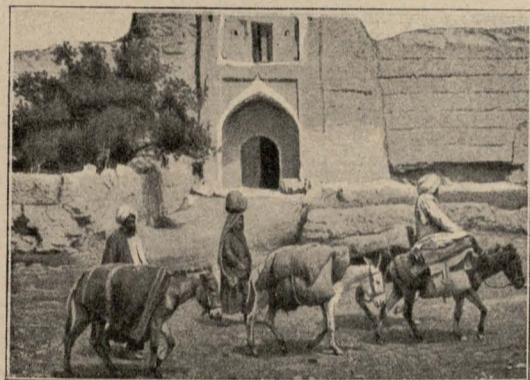
nawet pod innymi szerokościami geograficznymi... W Ak-Bejt, na wysokości 3870 metrów, podróżnicy natrafiają na kirgiskie święto kozy, *tamasza*.

Niecierpliwi się tłum widzów. Gromadka jeźdźców na doskonałych koniach oczekuje. Wprowadzają młodą kózkę, której jeszcze rogi nie wyrosły. Sport pamiński polega na tym, aby ją porwał jeździec w pełnym galopie i uciekał ze zdobyczą przed innymi, którzy odebrać mu ją usiłują. Więc zwroty, wykrety... Kózka, doprowadzona wkrótce do kawała poszarpanego ścierwa, przechodzi przez setki rąk, aż znajdzie się ktoś niezwykły, nagradzany pierścieniem, parą kolczyków, chustką, monetą srebrną. Barbarzyńska zabawa jest zapewne przeżytkiem obyczajowym tych czasów, kiedy koza była istotnie godną zazdrości zdobyczą...

„W miarę tego, jak się posuwamy—pisze autor—krajobraz staje się coraz bardziej surowy. Znika wszelki ślad życia, góry stają się coraz bardziej ponure, a stoki ich, wznoszące się nad nami, zbliżają się do siebie i tworzą tak wąskie przejście, że zda się, nigdy przedostać się tędy nie zdołamy”.

To trzeci, najwyższy stopień Pamiru. To wąwóz Bejbe (4700 metrów nad poziomem morza), granica Rosyi, Chin i Afganistanu.

Tu opuścimy francuskiego podróżnika, aby kiedyś może do dalszej jego podróży przez Chiny powrócić.



Arabowie w pielgrzymce z Bagdadu do Meszedu.

siadłości rosyjskie, a dalej przez Jarkand i Kurgan (Chiny), Karakorum, Srinagar i Lahorę (Indye angielskie) z powrotem do Persyi i Teheranu.

Pierwszy znaczniejszy etap—to Meszed, stolica święta Szytów, mahometan perskich, wyznawców proroka Alego. Fanatyczna ludność z nienawiścią spogląda tam na Europejczyków. Gmach główny—świątynia. Treść życia—regulowana przez mułłów.

Na użytek pielgrzymów wymyślili nawet specjalny rodzaj małżeństw krótkoterminowych. *Il y a des accomodements avec le ciel d'Allah*. Pobożni muzułmanowie znajdują chętne i posłuszne żony „tymczasowe” na okres ich pobytu w świętym mieście. A kiedy pielgrzym bierze kostur do ręki, małżonka odzyskuje wolność, aż do następnej karawany...

Pułkownik z eskortą podróżuje dość wygodnym powozem po drodze kamienistej, w części górzystej Persyi. Prócz karawan pielgrzymów spotyka gromady wędrujących żółwiów. Zwiedza kopalnie turkusów. Widzi matki, przyuczające kilkomiesięczne dzieci do palenia opium.

Dalej, za Meszedem, na gliniastej równinie, spotyka szeregi głazów, których obecności nic tu nie usprawiedli-

\*) *Commandant de Bouillane de Lacoste, Autour de l'Afghanistan (aux frontières interdites)*, Paris, 1908, Hachette. Str. 224, 120 rycin na osobnych planszach i 5 map.



Odbili daleko od brzegu.

KONSTANTY GORSKI

JÓZEF WEYSSENHOFF:

## UNIA

POWIEŚĆ LITEWSKA.

6)

Zastrzega się prawo przedruku.

## IV.

Ludzie, mieszkający nad takim jeziorem, jak Wiszuńskie, nasiąkają błękitem: mają nad czem się zadumać, gdzie puścić w dal swe instynkty kontemplacyjne. A kiedy życie, które i tu zbliża się swym zgiełkiem, walką i targowiskiem, zamąci im na chwilę spokój, wracają nad swe jezioro po samotne odpocznienie.

Żywym przykładem takiego usposobienia był Hieronim Budzisz. Urodzony tutaj, domator zawołany, agronom nie postępowy, mieszkał w Wiszunach od lat pięćdziesięciu kilku, biorąc zaledwie platoniczny udział w niecierpliwych ruchach swej epoki. Słuchał i czytał, nie kwapiąc się, zbierał liczne spostrzeżenia, ale rzadko je komu objawiał słowem lub pismem. Gadał obszernie tylko ze swym jeziorem, widocznym zewsząd w cudnych przemianach swych zarysów i oświetleń: z okien wysokiego dworu i z pół wzgórzystych.

Inaczej zapatrywała się na jezioro i na świat małżonka Hieronima, pani Antonina z Kurko-Ciecierowiczów Budziszowa, która tylko pół wieku swego przeżyła w tej okolicy, pochodziła bowiem z pod Mińska. Od ślubu swego, odbytego w Wilnie przed dwudziestu z górą laty, pani Antonina zjechała

do Wiszun i przeważnie tutaj osiadła. Ja także magnetyzowało zapewne jezioro. Zachowała jednak tęsknotę za odmienną Litwą, topograficznie mniej piękną, ale za to, w jej mniemaniu, kulturalniejszą. „U nas na Białejrusi” — pozostało w jej ustach symbolem jakiejś wyższości i ofiary, uczynionej ze swej osoby. Była jednak nie tylko wzorową małżonką swego Hieronima, chociaż go miała sobie za bajbarda — lecz i krzewicielką kultury w szerokim promieniu od Wiszun, nader ruchliwą, o ile na ruch pozwalała jej tusza, której wcześniej nabyła. Dawniej podobno ładna, dzisiaj zatraciła wszelkie wspomnienia greckie w swej postaci ociężałej, zbyt rozrośniętej i zaniedbanej. Chodziła, opierając się na lasce, a wielka jej głowa z gładko uczesanymi włosami, ze śmiałym, przenikliwym spojrzeniem, z otłuszczonym podbródkiem, zdawała się należeć raczej do statysty rodzaju męskiego. Wymowę też miała trybuna ludowego, zawsze gotową i ujarzmiającą. Pan Hieronim coraz trudniej mógł jej sprostać w dyskusji.

Ale od paru dni bawił tu pan Apolinary, szermierz na języki godniejszy. Do niego zwróciła pani Antonina cały arsenał swych „światopoglądów”. On służył jej zrazu chętnie przez zasadniczą dworskość

obyczajów, wkrótce jednak zmiarkował, że całych sił przyjdzie użyć, uzbroić się w całą swą przytomność i powagę, aby skutecznie odeprzeć wycieczki kuzynki przeciw ideałom nadwiślańskim.

— Najwyższą cnotą społeczną jest sprawiedliwość — dowodziła pani Budziszowa. — Wszystkie porywy zbiorowe, opierające się na poczuciu odrębności plemiennej, są uprawnione. Nie należy sztucznego pojęcia „państwo” kłaść ponad przyrodzone uczucie „plemię”.

— Zapewne, zapewne, kuzynko dobrodziejko, sprawiedliwość jest wielką cnotą.

— Ja mówię, kuzynie, o sprawiedliwości społecznej. Panowie Polacy żądacie wiele dla siebie, a nie uznajecie naszych żądań.

— Chce kuzynka powiedzieć: my z Królestwa? Owszem, w naszych zabiegach o autonomię Królestwa dodawaliśmy zawsze: „z uwzględnieniem potrzeb Polaków na Litwie”.

— To zawsze o Polakach mowa, kuzynie. Ależ trzeba zadość uczynić i uprawnionym popędom innych plemion.

— A to gdzie, kuzynko dobrodziejko? Chyba w innych krajach?

— Przepraszam. U nas na Białejrusi żądamy autonomii białoruskiej; tutaj — autonomii Litwy etnograficznej.



— A cóż nam, choćby naprzykład Budziszom, po takich autonomiach?!

— Trzeba być szczerym obywatelem swego kraju. Ja, choć Białorusinka, wyszedłszy za Litwina, poszłam za narodowością męża i jestem dzisiaj szczerą Litwinką.

— Co innego solidarność małżeńska. Gdyby kuzynka wyszła, z przeproszeniem, za Chińczyka, musiałaby zostać Chinką. Ale cóż to za odrębne narodowości: Litwin i Białorusin? Toć i ja Mazur, a wszyscy jesteśmy Polakami.

Pani Antonina z Kurko-Ciecierowiczów Budziszowa przymrużyła oczy, jakby zmierzyć chciała przepaść, dzielącą ją od krewnego z Korony. Przez tę przepaść rzuciła most pojednawczy:

— Rozumie się, że my, szlachta, mamy poniekąd wspólne interesy z wami, ale w naszej epoce „miarodajne” są dążenia ludu. Lud tutejszy chce czego innego.

— Czyż doprawdy?

Po drobnych obustronnych ustępstwach oboje nie ucieszyli się jednak. Pani Antonina powstała i sprowadziła pana Apolinarego przez ogród do jeziora, gdzie zarzucono dzisiaj niewód „na szczęście gości”.

Szła wolno, opierając się na lasce, a na głowę rzuciła zwykłą chustkę od nosa, aby się uchronić od słońca. Chustkę wiatr zrzucał, Apolinary ją podnosił. To znów przystawała zdyszana, gdyż, pomimo swej tuszy i utrudzającego pochodzenia po wzgórzach, nie przerywała rozmowy politycznej:

— Przyzna kuzyn, że każde plemię, gdy dojdzie do samopoczucia narodowego...

Kuzyn przyznawał już wszystko, zawojowany bardziej przemocą, niż wdziękiem pani Antoniny. Myślał zaś:

— Jak ja lubię łapać ryby!

Jezioro już było blisko, już pachnęło, a pani Antonina szła tak rozpaczliwie powoli!

\* \* \*

Kazimierz z Aldoną dawno już poszli nad jezioro i, wsiadłszy do łodzi z dwoma rybakami, odbili daleko od brzegu. Jasna bluzka i słomiany kapelusz panny Budziszówny ubierały smolną łódź w plamę świetlną, wesołą, która drżała znów niżej, rozchwiana, idąc w głąb fali, tylko pod łodzią ruchomej. Ciemny zresztą ładunek sunął po wodzie sennie, z rytmicznymi błyskami dwóch powolnych wiosł.

Była to łódź, zagarniająca toń, połączona zatopionym już niewodem z drugą łodzią parzystą, tkwiącą u brzegu na kotwicy. Na tej drugiej łodzi dwaj rybacy pilnowali prawidłowego rozkręcania się powrozu z korby, na której pękatem, coraz topniejącem wrzecionem namotana była lina niewodu. A łódź, sunąca w dal, przystrojona tak sielankowo, zataczała przecież podstępny łuk obieży łowieckiej.

Kazimierz i Aldona zdali całkowicie kierunek połowu na doświadczonych rybaków, a sami królowali sobie spokojnie nad modrą przestrzenią. Aldona, porozumiewszy się z rybakami po litewsku, ostrzegła Kazimierza, że cicho trzeba siedzieć przy objeżdżaniu toni.

Więc siedzieli cicho od chwili wyruszenia, patrząc zrazu na lilie wodne, których gaj poziomy otwierał się płynnie przed dziobem łodzi i zwierzał się za nią znowu, za ledwie potargany. Na dalszej wodzie nic się już nie działo po wierzchu, oprócz gry świateł, za to w głębi coraz mroczniejszej rudozielone porosty zdawały się łązić po dnie łapami kosmatych potworów. Już i tych nie widać, tylko przepaść zieleniejącą, do której przesącza się tu i owdzie niby deszcz świetlisty i okaże w krótkim przeblasku znikające dziwy.

— Głęboko tutaj?—zapytał Kazimierz.

— Cicho!...

Przez wierzchnią warstwę wody śmigając czasem wędrowną gromadą stynek, rybiego drobiazgu, rój srebrzysty, wysłany może na zwiady pod groźny cień łodzi przez zaniepokojone w głębiach grube ryby. Jedno znaczniejsze maleństwo odłączy się od stada, zawisnie w słonecznym pasie nieruchome, mierząc łódź nie gasnącem okiem, aż, najadłszy się trwogi, pierzchnie krętą błyskawicą w głębsze cienie.

— Takie mamy łowić?—szepnął znowu Kazimierz, wskazując z uśmiechem na niewinną stynkę.

— Zależy od naszego szczęścia... od szczęścia gości—odpowiedziała Aldona.

Łódka, zatoczywszy łuk po jeziorze, zbliżała się do półwyspu, ocienionego lasem.

Tu się okazał plan łowiecki rybaków: zagarnęli jak najszerszą przestrzeń jeziora, o ile starczyła lina, pragnąc zapędzić jak najwięcej ryb do zatoki, ograniczonej przez półwysp i przez brzeg parkowy. Od szerokich wód zagrozdzi już wylot matnią, rozciągniętą między dwiema łodziami, z których jedna stała przytwierdzona do brzegu parkowego, druga dobiła do półwyspu.

Rybacy, cisi dotychczas, jak przewodnicy Erebowi, jęli teraz głośno trzaskać drągami wiosł o brzeg łodzi, a łopatomi po wodzie. Taki sam manewr wykonali rybacy na drugiej łodzi—i poszła wymiana hałasów, zdwojona przez echo od drzew do drzew. Było to zarazem hasłem, że cisza już nie obowiązuje na łodziach.

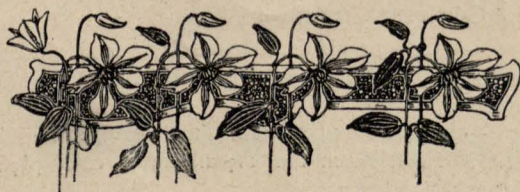
— Straszą rybę od brzegu — objaśniła Aldona.

— Rozumiem — odrzekł Kazimierz. — A tam idzie matnia.

Wskazywał na wygładzonej wodzie szereg punktów ciemnych od strony pełnego jeziora. Były to drewniane pławki, znaczące górny brzeg matni, obciążonej od dołu kamieniami.

Rybacy znowu ucichli, zarzucili kotwicę na brzeg półwyspu i, chwytając na przemianę za kołki od korby, pracowicie namotywali na nią mokry sznur, który przyciągał sieć do zatoki.

— Dobrze będzie? jak myślicie, Żum-



bakis?—zapytała Aldona po litewsku starszego rybaka.

— Ne žinu, panitia \*).

Rokszyci, który codziennie czynił postępy w języku litewskim, zrozumiał i uśmiechnął się:

— Wie pani, że o Litwie można powiedzieć: piękna kraina, w której rozbrzmiewa „ne žinu”.

— To zamiar znowu satyryczny?

— Prosta uwaga — może być nawet i pochwałą. Lepiej powiedzieć: nie wiem, gdy się wątpi, niż powiedzieć: wiem, gdy się nie wie.

— Więc czegoż pan chce od tego rybaka?

— Nic... chciałbym, żeby wiedział.

— To może aluzya do uświadomienia ludu?

— Poniekąd. Przyszło mi to na myśl, gdy obchodziłem pola wasze z ekonomem. Zaszedłem i do szkółki i do warsztatów tkackich, spotkałem dużo włościan rozmaitych wieków. Piękny i dobry lud. Zbudowany też byłem, że wszędzie znać rękę pani, że wszędzie wspominają „naszą panienkę”.

— Ach! ja sama chciałam panu to pokazać! — rzekła, rumieniąc się, Aldona.

— Powrócimy tam razem jutro, jeżeli łaska. Chciałem nawet panią o parę rzeczy zapytać. Czy szkółka jest dworska, przez dwór wiszuński założona?

— Założyłyśmy ją z matką bez niczyjej pomocy.

— To jest zapewne i wykład języka polskiego?

Aldona spojrzała ze zdziwieniem:

— Niema, panie. Przecie tu lud czysto litewski...

— Ale kultura płynie ze źródła czysto polskiego.

— Powracamy do naszej pierwszej rozmowy. Widzę, że pan uparty, jak Litwin.

— Jak Polak, proszę pani. My, to jest: pani i ja, bośmy przecie jednego pochodzenia, należymy do narodu najupartszego na świecie. Nie w drobiazgach, ale w swych wiekowych dążeniach.

Gdyby Aldona, która się miała za zdecydowaną stronnicek odrodzenia Litwy, usłyszała takie zdanie od niezgrabnego sąsiada, zaprotestowałaby energicznie. Ale Rokszyci, gdy to mówił, był bardzo piękny. Upór, którego bronił, błyszczał w oczach jego pociągającym blaskiem. Więc Aldona rzekła stanowczo:

— Kiedyż panowie nie znacie kultury litewskiej...

— Znamy ją, pani. Dała nam ogromnych ludzi, choćby tylko tych, którzy spoczywają na Wawelu. Ale ci dobrowolnie przestali mówić po litewsku.

— To chwała dla Polski, ale krzywda dla Litwy.

— Nie, pani. To chwała Litwy przez Polskę i Polski przez Litwę.

Aldona patrzyła przez chwilę bez uśmiechu w jasne oczy Kazimierza.

(DCN)

\*) Nie wiem, panienko.

AUGUST ACHAUME:

# JUANILLA.

Dziwne, zaprawdę, zdarzenie opowiadała nam stara donia Pepa pewnego wieczora Wielkiego tygodnia w Sewili.

Wieczora tego oba balkony doni Pepy wycierały na ciżbę ludu, przesuwającego się węzłem nieskończonym po ulicy wązkiej. Balkony to stare, o balustradach z żelaza kutego, pokryte plamami rdzy i kwiatów szkarłatnych. Naprzeciwko nas, na innych balkonach, ozdobionych draperiami z aksamitu purpurowego, widniały dziewczęta piękne, o oczach wielkich i ustach rozkosznie wy-

ciętych, ubrane czarno, w chusteczkach koronkowych, kokieteryjnie upiętych na szczycie główek, oczekując, tak jak my, na procesję. Nad głowami naszymi wiał wielkie, przymocowane do krawędzi dachów i rozpościerające się przez całą długość ulicy, tworzyło niebo teatralne. Nie widać było nocy. A musiała być piękna i głęboka.

Ruch gwałtowny tłumy, wrzawa przeciągła, po której dał się słyszeć suchy i przygłuszony łoskot bębnow, wreszcie szybkie uginanie kolan — zwiastowały zbliżanie się procesji.

Nagle gruchnęły dźwięki instrumentów masyżnych orkiestry wojskowej, i ukazała się w obłokach dymu kadzidła tak bardzo czczona przez Sewilian—La Virgen de la Esperanza.

Tłum rozentuzymowany krzyknął głosem wielkim: *Viva la Virgen!*

Za posągiem Matki Boskiej wlokły się poważne i skupione w sobie dwie kobiety bardzo młode, odziane w długie koszule białe, zamiatające bruk uliczny. Twarze obu okrywała bladeść śmiertelna, włosy rozpuszczone zdawały się jeszcze czarniejsze na tle białem koszul, wychudłe zaś ręce dźwigały ciężkie gromnice płonące.

A skorośmy zapytali doni Pepy, pełni ciekawości niespokojnej, co znaczą te panny, odpowiedziała nam westchnąwszy:

— Są to *amortajadas*, dziewczęta, które zaprzysięgły w czasie choroby śmiertelnej, że, jeżeli za wstawiennictwem Matki Boskiej odzyskają zdrowie, to pójdą za Jej procesję w koszulach śmiertelnych. Jak panowie widzą, dotrzymały obietnicy, jakkolwiek są jeszcze rekonwalescentkami i całkiem blade od śmierci, która się o nie otarła.

Mówiła to najspokojniej w świecie, dusza jej bowiem, dusza starej Andaluzki, uważała snadź za

całkiem naturalne, aby dziewczęta brały udział w procesji, odziane w koszule śmiertelne!

— Znałam jedną—dodała po chwili głosem smutnym—która nie dotrzymała obietnicy.

— Któż to taki?—spytałyśmy.

— Siotrzenica moja, Juanilla, zmarła przed laty dziesięciu. Najpiękniejsza dziewczyna w Sewili i w całym kraju, którym opiekuje się *Maria Santissima*. Nie przebaczyła jej Matka Boska!

Długa iza stoczyła się po zmarszczkach twarzy doni Pepy. Ręce jej ruchliwe poruszyły się gwałtownie.

— Straszne to było, straszne!—szepnęła—Juanilla rozpoczynała właśnie rok osiemnasty życia i z dniem każdym stawała się coraz piękniejsza. Powszechnie zwracano na nią uwagę, gdy zaś wracała z kościoła lub z *plazy*, przechodnie—jak to jest u nas we zwyczaju—widząc piękność jej, wołali: *Viva la grazia! Viva tua madre!* a nawet niejedni zachwycony rzucał jej *sombrero* swoje pod nogi, aby po nim stąpała... Wzrostu była wysokiego i posiadała włosy tak wspaniałe, czarne i długie, że możnaby z nich utkać płaszcz dla Matki Boskiej.

Naręczony jej, Pedro, kochał ją szalenie. Ale ponieważ zaręczyn nie ogłoszono jeszcze formalnie, mogła przeto rozmawiać z nim tylko wieczorami przez okno zakratowane.

Na rozmowach tych spędzała godziny długie.

Pewnego poranka—pamiętam to, jak wczoraj—Juanilla rozgorączkowana i drżąca, o oczach mgłą przysłoniętych, nie mogła powstać z łóżka. Przyznała się nam, że wieczora ubiegłego rozmawiała długo przez okno z Pedrem, a noc była wilgotna i zimna. Zaziębiła się widocznie.

Nastaly dni smutne i męczące. Juanilla mizerniała szybko, mającąc w gorączce. Matka jej i ja kryłyśmy się po kątach, płacząc serdecznie na widok dziewczęcia, tak pięknego jeszcze niedawno, teraz zaś wychudzonego, mającego i zlewającego się potem febrycznym.

Lekarz nasz, pocziwy dr. Golondra, wiedział bez wątpienia, co to za choroba, ale nie mówił nam tego, jeno kiwał głową i za każdą wizytą zapisywał mnóstwo lekarstw. Juanilla zaś marniała i marniała w oczach naszych.

Wówczas to w całym domu rozległ się okrzyk jeden: La Virgen de la Esperanza musi ją uzdrowić, musi!

Umieszczono tedy na stoliku okrągłym, w pobliżu łóżka Juanilli umierającej posążek malowany Matki Boskiej, wśród stosu kwiatów, przyniesionych przez Pedra, i otoczono stolik świecami płonącymi.

Gdy wszystko było gotowe, matka podeszła do chorej, dała jej gromnicę do ręki i kazała powtórzyć za sobą trzy razy:

— Matko święta, włosy me są długie i ciężkie, ale, jeżeli mnie uzdrowisz, ślubuję obciąć je i złożyć na ołtarzu Twoim.

Wymówiwszy słowa przysięgi, Juanilla podniosła włosy rozpuszczone w stronę posążka Matki Boskiej, jakby pragnąc pokazać Jej wielkość ofiary swojej, poczem opadła na poduszki wyczerpana.

Gdy przyszła do siebie, czuła się lepiej. Nazajutrz gorączka zmaląła, powoli wracały kolory na twarz chorą, a po trzech tygodniach Juanilla mogła powstać już z łóżka. Tak, panowie, Matka Boska ją uzdrowiła.

Wyzdrowiawszy, Juanilla znów stała się piękną, piękniejszą nawet, niż poprzednio, cierpienie bowiem, jak ogień, oczyściło ją i uszlachetniło jej postać. Ze spełnieniem jednak ślubu, złożonego podczas choroby, wciąż się ociągała. Wydawał się jej snem chorobliwym, a zdrowie powracające rozpraszało go w uciechach tysiącznych.

Gdy matka mawiała:

— Jutro przyjdzie Miguel, fryzjer, i obetnie ci włosy—Juanilla wołała głosem czułym i błagalnym:

— *Mameita mia*, Pedro ma przyjść właśnie jutro. Pozwól, niech mu się ukażę w całej piękności włosów swoich!

I cóż chcecie, panowie. Matka słaba, kochająca córkę, ustępowała.

W głębi wszelako duszy siostrzenicy mojej musiały odzywać się wyrzuty sumienia, pewnej bowiem nocy, podczas snu, krzyknęła przerażona. Włosy, jak węże, owinęły się jej dokoła szyi, dusząc, a gdy usiłowała węzeł straszny rozluźnić rękoma, zdawało jej się, że słyszy głos jakiś w kącie pokoju.

Zerwała się tedy z łóżka. Włosy ciążyły i paliły strasznie. Chciałaby wyrwać je wszystkie jednym zamachem, szukała nożyczek po omacku i wreszcie, łkając, padła znów na łóżko.

— Ze świtem, ze świtem—szlochała—niech przyjdzie Miguel... *Miguel el verdugo* (kat), niech mi je obetnie... a potem pójdę do kościoła... złożę je na ołtarzu.

Skoro nadszedł poranek, biedna moja Juanilla nie mogła powstać z łóżka. Znadto zmęczyły ją przejścia nocne. Niemniej przywołano Niguela. Ale gdy się zjawił, nie chciała go przyjąć.

— Już i tak jestem ukarana—wołała—Matka Boska przebaczy mi, że nie dotrzymałam Jej obietnicy, że chcę zachować piękność swoją!

Widocznie jednak ślub musiał być dotrzymany, bo włosy ciążyły Juanilli okropnie i, choć były tak suche, że trzeszczały przy czesaniu, zdawało się jej, że zmoczono je wodą.

Ciężyły jej, jak zgryzota, jak wyrzut sumienia, a przytem nabrały czułości dziwnej, gdy bowiem dotykano się ich, skręcały się, jak od bólu.

Na samą wszelako myśl rozstania się z nimi wzdrygała się dusza Juanilli.

— Jakto, za kilka słów, które kazano wymówić jej, gdy leżała niemal bez przytomności, miałby Miguel el Verdugo ściąć je nożycami, pozabawić ją ozdoby najpiękniejszej?... Nie, nigdy!...



Juanilla podniosła włosy rozpuszczone w stronę posążka Matki Boskiej.

I stał się—szepnęła donia Pepa—cud okropny... Pewnego poranka zastaliśmy Juanillę w łóżku nieżywą! Bujne sploty włosów okryły jej twarz, wdzierają się do ust, okręcały szyję... Umarła zaduszona... zaduszona włosami, nie należącymi już do niej, bo ofiarowała je była Matce Boskiej...

Donia Pepa umilkła, a oczy jej wilgotne skierowały się ku posążkowi Matki Boskiej, przed którym migało światelko lampki...

Przez balkony otwarte wdzierają się do pokoju tchnienie ciepłe nocy, pełne zapachów odurzających, jak ta wiara tajemnicza Hiszpanii, i zaczęliśmy pojmować opowiadanie dziwne doni Pepy u schyłku wieczora Wielkiego tygodnia w Sewilli szalonej... *Sevilla la loca*.

KSIĘGARNIA FR. RACZKOWSKIEGO W LUBLINIE, Krak.-Przedmieście 36, przeszła na własność GEBETHNERA i WOLFFA.

DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA”  
mamy na składzie

**Okładki ozdobne DO PÓŁROCZY „TYGODNIKA”**  
po rub. 1, z przesyłką i opakowaniem rub. 1.35.  
**piękne artystyczne teзки**  
do albumu „DUCH REWOLUCYONISTA” A. Kamińskiego  
po rub. 2, z przesyłką i opakowaniem 2.60.  
Do cyklu „BOŻY ROK” Piotra Stachewicza  
po rb. 1.50, z przesyłką i opakowaniem rb. 2.

**MYDŁO Z MLEKA LILIOWEGO „KONIK”**  
BERGMANN i Ska. RADEBEUL · DREZNO  
daje rumiany, młodzieńczo-swieży wygląd,  
czystą, białą, miękką jak jedwab skórę  
oraz delikatną, osłepiająco piękną cerę.  
Po 50 kop. dostać można wzędzie.  
Główny skład na Państwo Rosyjskie:  
**BIURO CHEMICZNYCH PREPARATÓW**  
ST · PETERSBURG, Newski 28, dom Singera.



Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

**SKŁADY NUT GEBETHNERA I WOLFFA**  
W WARSZAWIE,  
Nowo-Sienna 9 (róg Zgoda) Krakowskie-Przedmieście 15  
Polecają

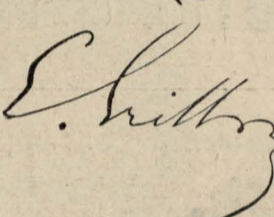
**WIEDEŃSKIE „UNIWERSAL-EDITION”**  
Dzieła kompletne klasyków w najnowszym opracowaniu, jak również kompozycje Richarda Straussa, Maxa Regera i wielu innych w układzie na wszystkie instrumenty oraz do śpiewu.  
„Universal Edition” zastępuje niemieckie wydania Petersa, Litolfia i inne.

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

PASTILLES DE  
**TAMAR INDIEN GRILLON**  
PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.  
We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Owoc przeczyszczający PRZECIWO OBSTRUKCYI


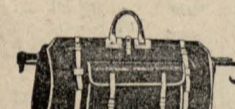
Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem



KOMPLETNE  
**Urządzenia biurowe KAROL F. FIŠER**  
Warszawa, Mazowiecka 10.




**E. UNIERZYSKI**  
[CHMIELNA Nr 3]  
poleca Skórzaną galanterię i przybory podróżne.

Lekarz dentysta **STEFAN ŻYCZKOWSKI** NOWOGRODZKA № 26  
Telefonu 167.49.

Nowe maszyny DO BIELENIA I DEZYNFEKCYI  
**„APOLLO”**  
nadzwyczaj dogodne w użyciu, nieodzowne w każdym gospodarstwie.  
**PASY SKÓRZANE**  
oryginalne angielskie w najlepszych gatunkach, poleca  
**ALFRED GRODZKI**  
Warszawa, 33, Senatorska.

**J. MIECZKOWSKI**, Fotografia  
Marszałkowska III. Telefon 16.81.

**LUDWIK SZUFA KRAWIEC**  
KRAKOW TELEFON 671



— Handele... handele... psiedają, kupują... handele, państwo, handele!  
— Kupiec tu nic nie zarobi... tutejsze lekatory już dawno posprzedawali, co tylko mogli.  
Rys. Fr. Kostrzewski.

**MEBLE**  
**ZAŁĘSKI i S-ka**  
Warszawa, Erywańska Nr 2,  
parter, 1 i 2 piętro. Telefon 16-39. Rok założ. 1870.

**Księgarnie Gebethnera i Wolffa**  
W WARSZAWIE,  
Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9  
pośredniczą  
w prenumeracie pism krajowych i zagranicznych  
po cenach redakcyjnych.

**J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI** Krakowskie-Przedmieście Nr 19 dom własny

# S. GLIŃSKI 41 Nowy-Świat 41

Polecana:

Pastę „BON TON,” Szuwaks, Smarowidło i Glazurę do obuwia, Pomadki, Proszki i Płyn „FENOMEN” do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze, Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.

**Bracia Osinscy** Warszawa, Niecała Nr 2 (róg wierzbowej) **Główny skład Kryształów czeskich fabryki Hr. Harracha „Nowy-Svet” (Czechy)** z kryształów, porcelany, terrakoty i majoliki, niebywały wybór serwisów stołowych, porcelanowych, krajow., czeskich i francuskich „Llmoiges”. **Ceny fabryczne. polecają wielki wybór OSTATNICH NOWOŚCI**

**VENUS** puder uznany na wystawach higienicznych za **KONSERWATOR** wzmacnia włosy, powstrzymuje wypadanie takowych, pobudza do porostu, usuwa łupież i mikroby 80, 1.25 i 2 rub, 40 kop najlepszy i nieszkodliwy. **AGATOL** proszek i eliksir do **ZĘBÓW** z silnym aromatem, najlepsze z dotychczas znanych. Polecą Laboratorium St. GÓRSKIEGO, LESZNO 12, Telefon 52-34.

P. Z. W. Rymy gramatyczne, nieraz kulawe („rani”, „mami”, „mojej”, „urojen” — to nie rymy!). „Pieśń” — w koszu.

*Prenumeratorka z Kijowskiego.* Adres H. Sienkiewicza: Hoża 22, Warszawa. Bron. „Helinowi” Rudz. Wiersze Pańskie nie są wolne od poważnych usterek stylowych i wersyfikacyjnych; nie dla nas.

*Zofia P w Wilnie.* Adres p. Witolda Morzyckiego jest: Russkij Turkiestan, Ferg. Obłasti, Rudnik Naukat, st Posetowka, r. Az. Ż. D. po rosyjsku *W-ny Adolf Kondrat, prof. gimn. u Pożezę Chorwacya.* W odpowiedzi na łaskawy list W Pana z dnia 27/XII, zgadzamy się na tłumaczenie artykułu: „Memorabilia szkolne” na język chorwacki.

*W. R. Sosnowiec.* Autorem artykułu: „Życie polskie w Turkiestanie”, jest dr. Bolesław Łaszczewski, w Miedzian- ce, p. Chęciny gub. kielecka.

*Prenumeratorki w Zagłębiu.* Najlepiej poinformuje Sz. P. kancelarya *Ecole des mines* w Paryżu.

*P. Oskierczyni.* Redakcja *Czasu* w Krakowie.

*Cavillator.* Utworów dramatycznych nie drukujemy.

*Omega.* Oczywiście, że odwiedzi — spędzi to nie rym.

*P. Mieczysławowi W. w Krakowie.* „Legenda o dzwonie” za małą jest próbką, by na jej podstawie wyrokować o zdolnościach autora. W każdym razie rzecz nie dla nas.

*J. G. X.* Żałujemy niezmiernie, ale nie umiemy udzielić Sz. P. żadnej odpowiedzi.

*P. Jadwidze Ł.* Niestety! nie możemy udzielić Sz. P. żądanych wyjaśnień, gdyż nie jesteśmy upoważnieni do zdradzania pseudonimów.

*P. J. Herł. w Krakowie.* Nadstą- nego wiersza nie zamieścimy.

*P. A. w Kaliszu.* Wiersz bardzo słaby; brak znajomości zasad stylu i wiersza widoczny.

*Ukraince.* Wiersze wcale melodyjne i zręczne, ale zamieścić ich nie możemy wobec licznych materiałów w te- ce redakcyjnej.

*P. St. P.* Obrazki Pańskie nie są bez zalet, ale wyższych znamion arty- zmu nie posiadają.

*Mimozie.* Nie jest Sz. P. bez zdolności, ale styl i wiersze utworów po- zostawiają jeszcze dużo do życzenia.

*P. M. F.* Wszyscy całorocznici pre- numeratorki z r. z. otrzymają premium, stosownie do prospektu i ogłoszeń. Otrzymać je można tam, gdzie się pre- numerowało *Tygodnik*.

## Magazyn Sukien i Okryć Damskich Władysławy Kwiatkowskiej

Przeniesiony z Chmielnej 9 na Plac Św. Aleksandra 14 (Telefon 7383) Polecą gotowe: Suknie wizytowe, Kostiumy angielskie, Bluzki od skromnych do najstrojniejszych, Spódnice do bluzek, Paski, Zaboty. Zamówienia przyjmują się z własnych i powierzonych materiałów.

## JULIUSZ SŁOWACKI PISMA

wydane za życia i po śmierci autora,

w układzie Artura Górskiego

6 tomów (przeszło 3,500 stron druku) rub. 6, w opr. rub. 8.

Nakład G. GEBETHNERA i S-ki w Krakowie.

## ODPOWIEDZI.

*Krasny Mak.* Adres p. Zygmunta Różyckiego: Sadowa, 4.

*P. M. O. w Proszowicach.* Istnieje jeden tylko ród O. Pochodzi ze wsi Obidowa w pow. łączyskim i używa herbu *Sulima*. (Na tarczy dwupolowej — w polu górnym złotym pół orła czarnego jednogłowego, w dolnym czerwonym — trzy kamienie drogie podłużne: dwa i jeden; nad hełmem w koronie szlacheckiej pół takiego orła, jak na tarczy). W końcu XVII-go stulecia jedna z gałęzi rodziny przesiedliła się na Ukrainę, gdzie, zatraciwszy z czasem tradycję pochodzenia swego, zaczęła pisać się z literą *e* w środku, a nawet używała (jak to widać z pieczęci Wojciecha O., ziemianina bractawskiego, w końcu XVIII stulecia) herbu *Gozdawa*. Naturalnie, zarówno pisownia nazwiska, jak i herb tej linii ukraińskiej, nie miały żadnej podstawy. Dołączone do listu Pańskiego kop. 49 w markach wpisałiśmy, jako ofiarę dla biednych do rozporządzenia naszej redakcji.

*P. Bolesławowi Klimczakowi.* Do kosza!

Najlepsza Pasta do Obuwia H. Trembińskiego „INTRYGANT” żądać wszędzie

## HOTEL SAVOY

W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT Elektryczność, Winda, Kąpiele, Restauracja pod własnym zarządem. Centrum miasta.

## Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9; Nowy-Świat Nr 49; Sienna Nr 2a; Leszno Nr 4; Długa Nr 19; Chłodna Nr 18; Długa Nr 7; Praga Brukowa Nr 32. Filie: Łódź, Zielona Nr 5; Częstochowa, II Aleja Nr 34.

## SERWISY STOŁOWE

Rub. 35, 40, 45, 50, 55, 60, 65 i t. d.

SKŁAD I WŁASNA MALARNIA PORCELANY, SZKŁA I FAJANSU

STANISŁAWA GÓRSKIEGO,

Nowy-Świat 37. Tel. 3631. Proszę zwrócić uwagę na firmę i adres Polecą ogromny wybór serwisów stołowych, platerów, szkła, majoliki, terrakoty. Ozdoby do mieszkań i ogrodów. Własna malarnia wykonywa artystycznie całkowite wyprawy słubne oraz fotografie wieczne na porce- lanie. **UWAGA:** Każdy kupujący serwis porcelanowy otrzymuje **bez- płatnie komplet dobrego szkła na 12 osób.**

NARZĘDZIA LEKARSKIE, ARTYKUŁY LECZNICZE I OCHRONNE, WYROBY NOŻOWNICZE

## Bronisław Krug

Warszawa, Bracka 18, telef. 35-47. Ceny fabryczne. Wysyłka za zaliczeniem.

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOŁE ORGANY, MELODYKONY **GEBETHNER i WOLFF** Warszawa, Krak.-Przed. 1?

## KOTYLIONOWE

przybory (największy wybór w każdej cenie, katalog franco). Zabawki — Gry salonowe — Witraże do okien — Filtry do wody — Nowości Paryskie. MAGAZYN FRANOUSKI (BERGA 8).

Gabinety do farbowania włosów dla pań. Kolory żądane. Farbiarz specjalista MILLER KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 51.

## SALON „ARS”

Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro) Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprzedaż obrazów najznakomitszych artystów polskich. Salon otwarty codziennie od 10 do 1 i od 2 do 5.



Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.